

5 przemiany

Miesięcznik społeczno-kulturalny Kielce, maj 1973 Nr 5/32 Rok IV

Rejestr nadzior ♦ B. Pasternak — Jeden dzień z naczelnikiem ♦
St. Mijas — Borynowy dłużnik.





Ideał daleki i bliski

Jak sobie wyobrażasz ideał nauczyciela? Pytanie zadaliśmy pedagogom, uczniom i rodzicom. Pierwsi ze zrozumiałych względów wypowiadali się ostrożnie, z dużym umiarem. Obok słów określających wzór, było zawsze słowo ale... ponieważ postawę człowieka zawsze uzależniali od warunków w jakich pracuje, żyje, przebywa.

Inaczej odpowiadali uczniowie. Ich spojrzenie na wychowawców nie było obciążone czynnikami zewnętrznymi, warunkującymi osobowość. Uczeń mówił o swoim marzeniu. Chciał nauczyciela takiego, o jakim czytał w książkach, w literaturze pięknej lub takiego, jak... i tu wymieniał nazwisko. Słowa: przyjaciel, powiernik, surowy i sprawiedliwy — występowały prawie w każdej wypowiedzi. Podobnie rodzice wiązali ideał z konkretną postacią, sięgali pamięcią do swojej młodości i stamtąd czerpali wzory. Jeżeli ten dzisiejszy, uczący ich dziecko, nie odpowiadał cechom tamtego, albo nie zbliżał się do nich, wtedy powstawały wątpliwości, zastrzeżenia i krytyczne uwagi.

Prawdy — jak mówi popularne powiedzenie — należy szukać pośrodku. Dzisiejsze szkoły charakteryzują się często dużym sformalizowaniem, brakiem cech indywidualnych, wyróżniających. Nauczyciel przestaje pełnić rolę samodzielnego pracownika pedagogicznego, którego wiedza i doświadczenie, talent i zamiłowania czynią osobowość swoistą, wyróżniającą i odrębną przez specyfikę pracy. Szkoła coraz bardziej stawała się instytucją, kombinatem nauczania. W tych instytucjach-kombinatach rola nauczyciela była i jeszcze jest dokładnie określona, ujęta przepisami. Jego praca nie jest istotą działania, staje się po prostu zadaniem, za wykonanie którego pobiera się pieniądze. Takie ujęcie zawodu, który winien być powołaniem, przebiega z wypowiedzi uczniów i rodziców. Ale czy tak być powinno? Uwagi te traktujemy jako jeden z elementów dyskusji nad „Raportem o stanie oświaty”.

Maria Rell, nauczycielka ze Skarżyska:

Uczciwość na pierwszym miejscu. Człowiek uczciwy nawet na siebie umie patrzeć krytycznie. Jeżeli stwierdzi, że nie jest dobrym nauczycielem, potrafi zrezygnować, odejść, aby nie przynosić szkody. Człowiek uczciwy pracuje tam, gdzie przynosi sobie i otoczeniu wymierne efekty. Być z młodzieżą, rozumieć jej dążenia i niepowodzenia, mieć jej przyjaźń i zaufanie — to główne czynniki decydujące o prawidłowym przebiegu procesu dydaktycznego i wychowawczego. Jestem polonistką, mój przedmiot ułatwia mi poznawanie młodzieży, jej życia psychicznego.

Codziennie obserwuję, jak uczniowie reagują na losy bohaterów książek, co ich oburza, co wzrusza. Szkoda, że program goni nauczyciela, nie pozwala zatrzymać się dłużej na tych tematach, które wywołują pozytywną reakcję u młodych. I dlatego dokładna realizacja programu nie jest równoznaczna z wychowawczym rezultatem.

Małgorzata Szmít, uczennica II Liceum Ogólnokształcącego w Skarżysku:

Idealnego nauczyciela nie muszę sobie wyobrażać, ponieważ jest taki w naszej szkole. Mogłabym wymienić nazwisko. Potrafi

przekazywać wiedzę, rozumieć uczniów, wymagać wiadomości i tolerować potknięcia. Nasza szkoła potrafi iść z duchem czasu.

Sławomir Jakubowski, uczeń II L.O. w Skarżysku:

Nie muszą być idealni, bo ludzi idealnych nie ma. Wystarczy jak będą dobrze uczyć i wychowywać. Niektórzy nauczyciele mają nawet duże wiadomości, ale nie potrafią uczyć. Uczeń, jak każdy człowiek, znajduje się czasem w trudnej sytuacji, wtedy nauczyciel powinien pomóc, ale, niestety, przeważnie bywa odwrotnie. Nie obchodzi ich, że ktoś z nas coś przeżywa i jest mu ciężko, nie może się skupić, opanować lekcji. Jeżeli nauczyciel przyjdzie z domu w złym humorze, to swoje niezadowolenie odbija sobie na uczniach. Wtedy śpią się dwóje, wyzyska, stosuje się taki system pytań, który wywołuje strach i zatyka gardło. Według mnie, nauczyciel powinien pomagać uczniowi, nawet przy odpowiedzi. Przecież w nauczaniu nie chodzi chyba o dwóje. Czasem uczeń wie, ale nie potrafi odpowiedzieć, wtedy nauczyciel mógłby naprowadzić na temat. Niestety, zdarza się to zbyt rzadko. Dlaczego jeden człowiek u drugiego widzi tylko twarz, a nie widzi środka? Nie żądam cudów, ale większego zrozumienia, pogody, nawet surowości w znaczeniu życzliwym.

Regina S., uczennica Liceum Medycznego w Radomiu:

Najlepszym nauczycielem jest ten, który rozumie uczniów. Może być surowy, wymagający, aby tylko wczuwał się w naszą sytuację i pomagał, kiedy potrzebujemy pomocy. Dobry nauczyciel nie powinien ograniczać się tylko do lekcji i podręcznika, nas inte-

resuje wiele różnych rzeczy, potrzeba nam wiadomości ujętych w programie i tych, które spotykamy w życiu, czasem te drugie są bardziej potrzebne. Odczuwamy potrzebę dyskusji na różne tematy. W naszej szkole jest nauczyciel, który według mnie zbliża się do ideału. Na jego lekcję nie mogę pójść nieprzygotowana, inne też. Jeżeli się taki przypadek zdarzy, to uczennica składa usprawiedliwienie przed lekcją, on to przyjmuje jako rzecz zupełnie normalną, nie wydziwia, nie kręci głową. Mamy też nauczycielkę lubianą przez wszystkich, ona potrafi zainteresować nas tematem i porozmawiać o sprawach rodzinnych, o różnych kłopotach.

Danuta Grabowska i Urszula Gołaszewska, nauczycielki z Liceum Medycznego w Radomiu:

Zanim będziemy mówić o wzorach, czy też ideale nauczyciela, warto zwrócić uwagę na fakt, że w tym zawodzie odczuwa się dotkliwy brak mężczyzn. Szkoła sformalizowana nie może zagwarantować pełnego procesu wychowawczego. W życiu są mężczyźni i kobiety, w domu dziecko ma ojca i matkę, a w szkole tylko panią. Mężczyźni mają większe możliwości dysponowania czasem dla celów wychowawczych w szkole. Kobieta obok pracy z cudzymi dziećmi ma także własne. I tak żyje między innymi a drugimi, śpieszy się, denerwuje i efekty są mizerne. Wychowujemy infantylnych chłopców, niedoradów i mazgajów, bo prawda jest taka, że kobieta ma miękki charakter. Chłopcom potrzebna jest męskość, twardość, a żadna kobieta nie jest w stanie tego nauczyc.



Ideał nauczyciela wiąże się nam z umiłowaniem zawodu, a więc i dzieci. Ważne jest również posiadanie umiejętności koleżeńskości, podejścia, przyjacielskiej troski.

Karol Wietrzniak, prac. umysłowy, Radom:

Teraz jest bardzo mało nauczycieli, których można by zaliczyć do ideału. Nie twierdzą, że ich w ogóle nie ma, ale przyglądam się tym, którzy uczą moje dzieci i nie dostrzegam w nich takiego wzorca. Dawniej nauczyciel był bardziej oddany szkole, teraz traktuje ją w wielu wypadkach jako zło konieczne. Taki nauczyciel nie zdobydzie dzieci. Rola przekaznika wiedzy, jaką często spełnia nauczyciel, nie zagwarantuje dobrego wychowania i dobrego nauczania. Werbalizm w nauczaniu nie będzie zostawiał trwałych śladów, wzbogacał umysłowo ucznia — wychowanika. Dzisiejszy nauczyciel zawsze się spieszy, nie ma czasu, a pośpiech w szkole jest bardziej szkodliwy niż przy maszynie w produkcji, choć i tam grozi to wypadkiem i złą jakością wyrobów.

Dyrektor Technikum Samochodowego, Radom:

Dobry nauczyciel to przede wszystkim nauczyciel wykwalifikowany, z dużą wiedzą zawodową, pedagogiczną i doświadczeniem życiowym. Na drugim miejscu postawiłbym punktualność, dyscyplinę. W przyszłości nauczyciel włączający się do pracy naukowo-badawczej, będzie doskonalił swoje umiejętności, pogłębiał wiedzę. W stosunku do ucznia winien być życzliwy, poznawać jego kłopoty i uczestniczyć w ich rozwiązywaniu. Takiego nauczyciela jeszcze nie mam w swojej szkole, ale chciałbym mieć, bez obawy o konkurencję. Uważam, że dobry nauczyciel nigdy nie będzie konkurentem dyrektora, może natomiast być dobrym przyjacielem w pracy.

Kazimierz S., uczeń Technikum Samochodowego w Radomiu:

Nauczyciel idealny, według mnie, to ten, który posiada wiedzę i umie ją przekazać. Nie żąda i nakazuje, a zachęca przykładem, imponuje wiadomościami, prowadzi przekonujący dialog z uczniem. My też mamy konflikty wewnętrzne i niepowodzenia. Kto nam w tym pomaga? Oczywiście, nie nauczyciele, nie rodzice, został tylko rówieśnik, a szkoda. Doświadczenie starszych, ich wiedza mogłaby nam lepiej pomagać. Współzycie nauczyciela z uczniem powinno cechować się przyjaźnią, ale, niestety, w większości wypadków nauczyciel nie traktuje ucznia jako partnera i nie liczy się z nim. Co ty masz do powiedzenia? — mówi — a my odczuwamy to jako poniżenie, degradację. W naszej szkole jest taki nauczyciel bliski ideału. On nie mówi do nas „uczenie się“, nie prowadzi długich kazań, tylko wyklada i zwraca uwagę uczniów na partie trudniejsze. Mamy z nim częste kontakty poza lekcjami. Potrafi

żartować, ale kiedy potrzeba, jest groźny. Umie wstawić się za uczniem, jeżeli ten podpadnie z blahego powodu.

Anna Marciniak, nauczycielka w Skaryszewie:

Idealnych ludzi nie ma, mogą być tylko lepsi lub gorsi. Tak samo z nauczycielami. Jeżeli decydują się na pracę w szkole to znaczy, że ona im odpowiada. Wtedy wzbogacają swą wiedzę, gromadzą pomoce naukowe, nabierają doświadczenia i stają się coraz lepszymi wychowawcami. Chyba każdy nauczyciel jest związany ze szkołą, ale nie zawsze ma warunki do dobrej pracy. Wyniki w pracy zależą od wielu czynników. Trzeba najpierw stworzyć dobre warunki, a później szukać idealnego nauczyciela. W szkole jest za dużo kobiet. Nie mają czasu na pracę społeczną, bo czeka na nich dom. Dopóki do zawodu nie wrócą mężczyźni, nie będzie normalnego funkcjonowania szkoły.

Włodzimierz Drozdowski, nauczyciel z Ilży:

Ideał nauczyciela nie może odbiegać od rzeczywistości, bo nie

wolno przypisywać mu czegoś niemożliwego do spełnienia. W tym wypadku chodzi chyba o wrodzone umiejętności przekazywania wiedzy. Nie może być dobrym nauczycielem ten, kto przez przypadek trafił do zawodu. Żeby dobrze uczyć, trzeba to lubić. Zawsze wbija się nam do głowy, że dzieci trzeba kochać, bo inaczej nie będzie się dobrze spełniało obowiązki szkolnych. Nie zgadzam się z takimi sformułowaniami. Wystarczy lubić zawód, swoją pracę, rozumieć młodzież, szanować ją, nawet cenić.

Wanda Socha, uczennica Liceum Ogólnokształcącego:

Dobry nauczyciel to taki, który rozumie młodzież, rygorystyczny a zarazem łagodny. Do każdego ucznia powinien podchodzić z sympatią, a nie ze złością. W naszej szkole jest kilku nauczycieli, których system nauczania podoba mi się, ale nie mogę ich nazwać nauczycielami moich marzeń. Nauczyciel przeważnie jest niedostępny dla ucznia. Między nami istnieje wyraźna przegroda.

Nie wiem, kto ją tworzy, wiem tylko, że nie mamy wspólnych tematów, nie czujemy potrzeby rozmów i zwierzeń.

Krystyna D., Kielce:

Zawód nauczyciela jest bardzo trudny. Wymaga codziennego kontaktu z wieloma uczniami. Ich spostrzegawczość czy wszystko widzą i oceniają bardzo surowo. Uczeń jest istotą przygotowaną do życia w świecie ludzi dorosłych. Dla niego przykładami są przeważnie bohaterowie z książek, dlatego ludzie dorosłych oceniają w oparciu o wzorce literackie. Idealny nauczyciel może istnieć w rzeczywistości, jeżeli pod tym pojęciem będziemy rozumieli najlepszych spośród dobrych. W szkole, do której chodziłam, był taki nauczyciel. Zmarł przed rokiem. Na pogrzeb przyszedli uczniowie uczęszczający do szkoły, ale było także dużo tych, których życie rozproszyło już po całym kraju. Przyjechali złożyć kwiaty. On też stawiał dwie, wymagał, ale miał dla nas tyle serdeczności, że nie mogliśmy go nie kochać.

prognozy kultury

Przymierzając do współczesności

Rozwój kultury w województwie kieleckim, od lat nie notowany dynamiką zarówno w sferze inwestycji, jak twórczych poszukiwań modelu sprzyjającego kształtowaniu nowoczesnego człowieka — skłoniły redakcję do próby opisu dokonujących się przemian w przededniu Dni Oświaty, Książki i Prasy. O informację poprosiliśmy Andrzeja Pierzchałę, kierownika Wydziału Kultury Prezydium WRN w Kielcach.

PRZEMIANY: Wydział Kultury z dużą pieczołowitością przystąpił do opracowania resortowej prognozy. Upłynął rok z górą, zanim zarysował się kształt działań w tej dziedzinie w kolejnych latach do 1990. Czy można określić główny wyznacznik kieleckiej propozycji modelu? W czym w kulturalnych zjawiskach całego kraju będzie się Kieleccyzna specjalizować?

ANDRZEJ PIERZCHAŁA: Przed rokiem mieliśmy już

pierwszą wersję prognozy. Uległa ona radykalnym zmianom z uwagi na nowy podział administracyjny województwa. Obecnie gotowa jest wersja druga. Pracowaliśmy nad wielostopniowym, rozwojowym planem działania: z prognozy sięgającej roku 1990 wynika nasz program do roku 1980 i najbardziej konkretny już plan 5-latk 1976—80. Zarysowało się w kulturze wiele problemów do dyskusji, po-

dobnie jak w „Raportie o stanie oświaty“, na tyle ogólnych, że dotyczą i teorii kultury w naszym socjalistycznym kraju, i naszych własnych lokalnych prognozy i rozwiązań.

Uchwała XIV Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR, uchwały VI Zjazdu partii i VII plenum KC poświęcone sprawom młodzieży, nadają ogólny kierunek działalności kulturalno-oświatowej.

W modelu dla naszego województwa widzimy tych wyznaczników kilka, wyraźnych, nie wymyślonych dlatego, że zachęcono nas do formowania zróżnicowanych kulturowo obszarów, ale dlatego, że specyfika Kieleccyzny wynika z jej historycznego i ekonomicznego rozwoju. Kultura musi się różnić, jak różni się np. krajobraz kielecki od tatrzańskiego, czy struktura ekonomiczna, demograficzna Kieleccyzny i Wrocławskiego.

Województwo kieleckie w bieżącej i następnej 5-lacie osiągnie czołową w kraju dynamikę rozwoju różnych dziedzin gospodarki. Z tego faktu wypływa pierwszy kierunek naszych planów, wnioski dla kultury. Uprzemysłowanie województwa, jego postępujący wzrost wywiera pozytywny wpływ na rozwój merytorycznych treści i bazy kulturalnej, na kształtowanie podstaw, zmianę i rozwój potrzeb, model życia. Temu służą nasze placówki i instytucje. Działacze postulowali od lat ten logiczny współdział przemysłu w tworzeniu dla ludzi pracy warunków uczestniczenia w kulturze, który obecnie wyraża się partyticipowaniem w budowie siedmiu powiatowych domów kultury.

Nie ma modelu Kieleccyzny bez wszystkich dobrych tradycji, z których czerpie przyszłość, tworzy się ciągłość narodowej kultury. Wyróżnia nas społecz-

ny ruch kulturalny, ponad 30 działających towarzystw regionalnych. Szczycimy się, że w stowarzyszeniach kulturalnych wykształciliśmy bardzo ambitny aktyw społeczny, pomagający nam w realizowaniu zamierzeń. Ten aktyw wychowywał się na regionalizmie typu działalności Kolberga, Patkowskiego, Staszica, Żeromskiego. To dobre wzory dla współczesności i przyszłości. Ruch społeczny inicjuje czyny społeczne, których moralną i materialną wartość trudno przecenić.

Wyróżnia Kielecczynę żywa, bogata ludowa twórczość artystyczna. Mamy w województwie około tysiąca aktywnych twórców ludowych, często dużej rangi. To prawie połowa artystów-amatorów w kraju. Tym kapitałem staramy się dobrze gospodarować. Obok tego uznać trzeba, jako przejaw masowej, kulturalnej aktywności, mnogość i wielorakość naszego amatorskiego ruchu kulturalnego.

Obdarzyły nas dzieje, województwo jedno z niewielu, taką ilością zabytków architektury, sławnych klasztorów, wartością i wielkością artystycznych waleń. Ustupujemy tu tylko przed Krakowskiem i Wrocławskiem. Posiadamy również kilkadziesiąt tysięcy zabytków ruchomych w rękach społecznych i prywatnych; ich zewidencjonowanie traktujemy jak ważne i pilne zadanie.

W województwie kieleckim i chyba tylko jeszcze na Mazowszu można spotkać wiejskie budownictwo drewniane z XVIII i XIX wieku. W związku z tym, aby zachować relikty przeszłości przed nieuchronnym naporem tzw. cywilizacji, planujemy — drogą eliminacji — zachować co ciekawsze obiekty budownictwa drewnianego w specjalnie na ten cel urządzonym parku etnograficznym. Proces realizacji musi trwać kilkanaście lat, tu trzeba się uzbroić w cierpliwość, ale etapami przygotowujemy się do tej śmiałej koncepcji.

Wyróżnia nas zatem bogactwo przeszłości i żywa jego kontynuacja. Leżymy na ważnych ciągach turystycznych, musimy tworzyć serio nową dziedzinę gospodarki narodowej, turystykę i kulturę zespolić w prezentowaniu piękna i godnej tradycji naszej ziemi, nie zapominając i o ekonomicznym z tego proficie.

PRZEMIANY: *Jakie trudności dostrzeżone w tej szczegółowej analizie, w opracowywaniu prognoz długoterminowych, najbardziej zaważyć mogą na realizacji ambitnych zamierzeń? Jaka hierarchię ich stopniowego przezwyciężania ustalił Wydział: zdobywanie środków finansowych i mocy przerobowych, przygotowanie kadr, czy zmiany form działalności odpowiadających nowemu programowi?*

A. PIERZCHAŁA: Opracowując prognozę zrobiliśmy szczegółową analizę stanu posiadania. Utwierdziła nas w realnej ocenie sytuacji. W 24 proc. miejscowości w województwie kieleckim (w tym i na wsi) posiadamy placówki kulturalne, część jest nimi tylko ze statystyki i sztydów. Czy można w tym poważnym rachunku na jutro liczyć

np. klub wiejski, te cztery na cztery metry, bez zaplecza społecznego działania kulturalnego? Stąd na lata najbliższe są określone bardzo jasno i wyraźnie kierunki: poprawa bazy i równoczesne przygotowanie kadry.

Nie wszystko trzeba budować od nowa. Spędza nam sen z powiek wykorzystanie już istniejących zasobów. Dostrzegamy tu poważne rezerwy i uruchamiamy je przez inicjowanie i popieranie społecznego budownictwa placówek kulturalnych. Aktualnie mamy w Kielecczyźnie około 100 obiektów przygotowywanych do programowej pracy dla kultury w czynach społecznych, przy pomocy kapitalnych remontów i zagospodarowywania dla naszych celów obiektów zabytkowych.

W parze z inicjatywą społeczną rozwija się, jak nigdy dotąd, planowe organizowanie bazy ze środków państwowych. Możemy chyba mówić o 5-lacie urodzaju i dostatku. Prezydium WRN przeznaczyło na bieżące 5-lecie ponad 60 mln złotych na budowę kluczowych instytucji kulturalno-oświatowych. Będą to: teatr, Biblioteka Wojewódzka z czytelnia, stanowiąca bibliotekę naukową, Szkoła Muzyczna w Skarżysku, amfiteatr na Kadzielnicy — pierwszy etap Parku Kultury i Wypoczynku. Wybudowany został ze środków Prez. WRN pawilon wystawowy, czasowo zajmowany przez Bibliotekę Wojewódzką. Przed terminem zrealizowano możliwość odbioru II programu TV. Poważne środki z budżetu WRN i centralnego przeznacza się na konserwację zabytków; w porównaniu z poprzednią 5-latką nastąpił kilkakrotny wzrost, rocznie na ten cel angażuje się ponad 30 mln złotych. Organizuje się w Szydłowcu Ogólnopolskie Muzeum Instrumentów Ludowych i Muzeum Sztuki Ludowej.

To już bardzo dużo, ale jeszcze nie na miarę potrzeb. Ważny jest współdział naszych sojuszników. Partycypowanie w budowie obiektów kulturalnych przez rozwijający się przemysł, zaangażowanie zakładów przemysłowych w tzw. dotychczas inwestycje towarzyszące przekracza już sumę 150 mln złotych. W przygotowaniu do budowy są domy kultury w Koźlenicach, Staszowie (wraz z Biblioteką Powiatową), w Końskich, Wiejski Dom Kultury w Połaniecu, Dom Kultury w Nowinach. Niebawem ukończony zostanie Dom Kultury na Idalinie w Radomiu, godny naśladowania przykład działania społecznego. Rozpoczęto budowę domów kultury w Jędrzejowie, Opatowie, Opocznie. Na ukończeniu jest gminny ośrodek kultury w Stąporkowie, w przygotowaniu budowa wielofunkcyjnego obiektu kulturalnego w Małogoszczu. Dzięki przemysłowi, dla ludzi z nim związanych znikną białe plamy, które w geografii kulturalnej tak niekorzystnie dzieliły i różniły dotąd różne obszary województwa.

Wobec takich rozmiarów inwestycji pionów kultury rad narodowych i związków zawodowych uwaga nasza koncentruje



fol. A. Pęczalski

się na procesie wykonawczym, przede wszystkim na skróceniu cykli realizacyjnych przez przedsiębiorstwa budowlane. Zabiegamy i my, a klimat jest korzystny, o priorytet, bodaj nieformalny, również dla naszych inwestycyjnych zamysłów, niezbędnych dziś w cywilizacyjnym krajobrazie województwa. W

środkach finansowych dużo znaczą sumy z tytułu kapitalnych remontów. Prezydium WRN przeznacza poważne kwoty, sięgające kilkudziesięciu milionów złotych, na remonty placówek upowszechniania kultury w najgłębszym terenie i wymagających tego instytucji zawodowych. Przygotowuje się do re-

montu Filharmonii im. O. Kolberga i pomieszczenia dla Teatru Lalki i Aktora „Kubuś”, rozpoczęto po wieloletnich staraniach remont gmachu teatru w Radomiu, niebawem zacznie się remont Wojewódzkiego Domu Kultury.

Osiągniemy, etapami planu 5-letniego, programu i prognozy bazę dla działalności kulturalnej. Jasne, że wzrosną i zmienią się jakościowo nasze potrzeby w dziedzinie gospodarki kadrami. Jest to problem dla nas najtrudniejszy wobec dotychczasowego braku jednolitej koncepcji przygotowania pracownika kulturalno-oświatowego i statusu jego sytuacji zawodowej, co dla jakości i stabilizacji kadry jest niezbędne. Ministerstwo Kultury i Sztuki przygotowuje centralne akty prawne i programy. Nie czekając na to, co przyniosą, obok już istniejących wielu form kształcenia i doskonalenia, podjęliśmy własne inicjatywy i próby. Wobec życzliwego stanowiska rektora WSN w Kielcach, doc. dr E. Staszyńskiego, w nowym roku akademickim powstanie w uczelni kierunek o charakterze kulturalno-oświatowym, obok istniejącego już i potrzebnego bibliotekoznawstwa i umuzykalniania. Dla rozwiązania lokalnych potrzeb przygotowania ludzi do pracy w wiejskich placówkach wprowadzamy ten program w Liceum Ogólnokształcącym w Łopusznie, w ramach zajęć fakultatywnych. Tę formę chcemy wprowadzić w innych liceach usytuowanych na wsi (Smogorzów, Bliżyn itp.); mając niezbędną do tego bazę — internaty — chcemy częściowo kierować naborem do tych liceów poprzez resort kultury. W zasadzie kadra nasza im głębiej w teren, tym jest słabsza. Sam Uniwersytet Ludowy w Rożnicy, dobrze dokształcający działaczy kulturalnych, tego problemu nam nie załatwi. Stąd wielorakie poszukiwania specjalistów w tym mało dotąd sprecyzowanym zawodzie. Np. przez uruchomienie dwóch nowych kierunków w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych, ceramiki i konserwacji zabytków, pozyskamy absolwentów, których każda liczba przyda się kulturze. Po okrzepnięciu tych kierunków uruchomimy w PLSP pomaturalne studium o specjalnym kierunku kulturalno-oświatowym. Dokonuje się w szkołach muzycznych I i II st. reformy nauczania dla przygotowania kadry instruktorów muzycznych. W Skarżysku powstanie zaoczne studium dla czynnych nauczycieli muzyki.

Trzeba myśleć poważnie również o nowych ludziach dla placówek zawodowych. Teatr i filharmonia czynią starania o zaangażowanie artystów z narybku konserwatoriów i wyższych szkół teatralnych, przez stypendjowanie i tworzenie dla nich godziwych warunków socjalno-bytowych. Podobnie potrzebujemy dla naszych placówek, dla miast powiatowych artystów plastyków. Mamy ich, dobrych, w Kielcach i w Radomiu, ale nam chodzi o prawidłową geografie rozmieszczenia ludzi czuwających nad pięknem, estetyką co-

dziennego życia nie tylko w centrach wojewódzkich. W terenie robota dla plastyków leży dosłownie na ulicy, od nich w dużym stopniu zależy tempo kulturalnych i cywilizacyjnych przemian.

PRZEMIANY: *Teren woła o ludzi, ale dla kwalifikowanych pracowników nie zawsze był tam w gromadach i wsiach warsztat pracy, tzn. placówka z prawdziwego zdarzenia. Co będzie w gminach, czy kultura w nowym układzie administracyjnym zyska, czy — na rzecz produkcji i innych potrzeb — może straci?*

ANDRZEJ PIERZCHAŁA: Na pewno zyska, w sposób widoczny. Paradoxem byłoby unowocześnianie wsi bez wspierania tego procesu przemianami kulturalnymi. Jest przede wszystkim w powiatach dobra atmosfera dla tych spraw. Można powiedzieć, że kultura na gminach już zyskała, bo 110 obiektów w siedzibach dawnych GRN zagospodarowanych zostało na placówki kulturalne i oświatowe. 60 procent tych obiektów przeznaczono na polepszenie warunków pracy bibliotek, w większości działają przy nich czytelnie. Powstało kilkanaście nowych klubów „Ruchu” i „Rolnika” oraz świetlic. W niektórych budynkach pogromadzkich powstały również gminne ośrodki kultury, np. GOK w Brzeźnicy dla gminy Kozienice, podobnie wielofunkcyjny ośrodek w Sieciechowie. To jest przyszłościowy model terenowej kultury, bardziej nowoczesny od dotychczasowych pionierskich prób. Przyszłość kultury — dalsza i bliższa — koncentrować się będzie wokół takiej gminnej placówki, która obok działalności podstawowej w gminie będzie służyć pomocą filiom bibliotek, klubom i świetlicom w sołectwach i wsiach okolicznych. Rozważa się cztery warianty GOK: dla miejscowości o charakterze wybitnie rolniczym, rolniczoprzemysłowym, rekreacyjno-wypoczynkowym i uzdrowiskowym oraz dla ośrodków w małych osiedlach miejsko-gminnych, jak Chęciny, Suchedniów, Stąporków itp. To jest potrzebne, logiczne zróżnicowanie.

Co to będzie GOK, czy to nowoczesnej wsi wystarczy? Mieszkańcy dostaną bibliotekę z czytelnią dla dorosłych, młodzieży i dzieci, salę dla prezentacji filmów, sztuk teatralnych, koncertów muzycznych, imprez estradowych, kabaretów, variété oraz pomieszczenia klubowe związane z uprawianiem różnych zainteresowań, form kulturalnego i oświatowego działania. Projektuje się zlokalizowanie przy takim ośrodku księgarni „Domu Książki” oraz terenów rekreacyjno-wypoczynkowych, basenu kąpielowego, boiska sportowego, ogródka jordanowskiego. Czy ma to w mieście, nawet największym, mieszkaniac każdego osiedla?

Koncepcja nasza jest tak opracowana, że licząc się z oszczędnością środków inwestycyjnych można ją realizować stopniowo, fragmentami, zaczynając od obiektu o funkcji najbardziej potrzebnej, od już istniejącego pomieszczenia. Jest opracowany i nasz projekt statutu GOK, koncepcja organizacji i budowy, statut ramowy, regulamin organiza-

cji wewnętrznej. Suma dotychczasowych doświadczeń, propozycje poszczególnych województw pozwolą ministerstwu wydać w tym względzie akt normatywny.

PRZEMIANY: *Dużo pracy, dobre plany. Jaki powinien być pracownik, działacz kultury zmierzony do zadań zawartych w prognozie, do reformy — bo tak to trzeba nazwać — treści, form i metod wychowywania nowoczesnego społeczeństwa przez kulturę i sztukę?*

A. PIERZCHAŁA: Dobry pracownik, i u nas, jak wszędzie, na podstawie analizy faktu podejmuje działanie, kontroluje jego realizację. To właściwie wszystko. Nie dzielimy naszej kadry na urzędników i działaczy. Ludziom naszego resortu nie może być obojętna, a powinna być głównym przedmiotem ich zainteresowania, treść pracy kulturalno-oświatowej podporządkowana procesom wychowawczym całego społeczeństwa, szczególnie młodzieży. Kultura ma poważny udział w kształtowaniu osobowości obywatela dzisiejszych i przyszłych zamierzeń zbudowania drugiej Polski. Dotk nawijania do najszczytniejszych tradycji postępowych ruchów społecznych, walk narodowowyzwoleńczych, do pięknych kart historii Kielecczyny z czasów ostatniej wojny, współczesny dzia-

lać musi umieć pokazywać przez właściwe funkcje kulturowe przeszłość i perspektywy, dzień dzisiejszy z jego osiągnięciami, dzień jutrzejszy z jego wymaganiami, musi z tą wizją przyszłości młodych oswajać, do niej przygotowywać. Przykłady takiego łączenia wielu celów w cel jeden mamy w działalności kulturalnej Ostrowca, Radomia i Kielc. Ten kierunek realizują z powodzeniem towarzystwa społeczne i regionalne, jest on treścią „dni” powiatów i regionów, tak prezentujących swoją przeszłość i przyszłość.

Realizacja naszego programu wymaga zaangażowania i aktywnych sojuszników. Program jest, plan na następną pięcioletkę kulturalną w opracowaniu, nad prognozą prowadzimy gospodarską dyskusję. Mamy wieloletnią wypróbowaną rzeszę ludzi pracujących zawodowo i społecznie, pełnych inicjatywy, uporu, tworzących konkretne fakty kulturowe. Kielecka kultura potrzebuje ich dalszego wysiłku, do zadań na miarę ich patriotyzmu i ambicji. W Dniach Oświaty, Książki i Prasy pragnę wyrazić im podziękowanie za pewność, że możemy na nich, jak zawsze, liczyć.

Rozmawiała
IRENA JAROSZ



fol. J. Baczkowski

Rejestr nadziei

Wiesław Barański

Dniem przyjąć w Kieleckiej Spółdzielni Mieszkaniowej jest poniedziałek. Już od południa na korytarzu zbierają się członkowie spółdzielni licząc, że osobista rozmowa z prezesem przybliży ich do własnego mieszkania. W dniu tym na pełnych obrotach pracuje cały dział członkowski, otwarte są wszystkie szafy z aktami, segregatory znajdują się pod ręką.

Prezes przypomina trochę boksera, szykującego się do wyjścia na ring, ostatni łyk kawy i za chwilę potoczy się opowieść, której bohaterami i narratorami jednocześnie będą ludzie pedantycznie ponumerowani w dziale członkowskim. Nazwiska nic już nie znaczą, brane są pod uwagę numery: ludzie oznaczeni numerami niższymi, powiedzmy 6-5 tysięcy, mają większe szanse od sygnowanych numerami oscylującymi w pobliżu 10 tysięcy. Szczęśliwcy, którzy uplastowali się w pobliżu 2-3 tysięcy, mają znów nazwiska. I mieszkania.

Tego dnia oprócz prezesa i kierownika działu członkowskiego zasiada w gabinecie reporter. Ma przed sobą stertę czystego papieru, będzie uczestniczył w rozmowach, jednakże bez prawa zadawania pytań. Może tylko słuchać i notować.

Nim wejdzie pierwszy interesant, krótka wymiana poglądów między prezesem a kierownikiem, chodzi o decyzję w sprawie obywatela W. Otrzymał on we wrześniu ub. roku propozycję na mieszkanie w osiedlu Sady. Propozycję przyjął, ale mieszkania się nie doczekał: zmarł w lutym br. Została rodzina. Czy przysługuje jej prawo do tego mieszkania? Zarząd podtrzymuje poprzednią decyzję. Mieszkanie im się należy. Na wniosku figurują bowiem członkowie całej rodziny.

Wreszcie pierwszy w kolejce: jest magistrem praw, zajmuje mieszkanie typu M-3 (z 5-osobową rodziną), które chce zamienić, by poprawić warunki mieszkaniowe. Wstępne porozumienie określa termin zamiany na rok 1973. Czy ten termin jest realny? Prezes dla pewności prosi telefonicznie o akta sprawy. Wszystko się zgadza, istnieje ponadto olbrzymi popyt na mieszkania typu M-3. Zamiana może być dokonana w II półroczu br. Ponieważ jednak istnieje sporo tego rodzaju wniosków, zarząd musi je rozpatrzyć i ustalić kolejność. Ale to naprawdę kwestia miesięcy.

Zofia S. figuruje na tegorocznej liście przydziału mieszkań na pozycji 67. W zeszłym roku też figurowała na liście, ale mieszkania nie ma do tej pory. Jak będzie w tym roku? — Dobrze będzie — mówi prezes — w tym roku otrzyma pani mieszkanie. — Ale droższe — wpada mu w słowo pani S. — Tyle lat czekałam, w zeszłym roku musiałam dopłacić i teraz znów słyszę o podwyżce. W zeszłym roku 4 tysiące, w tym roku znów, przecież nie mogę ciągle pisać do kasy zapomogowej o pożyczki. Już mnie tam mają dość, nie wierzą mi.

— Nowe ceny mieszkań zostały ustalone centralnie, gdyby się pani chciała dowiedzieć dlaczego i zapoznać z nimi szczegółowo, proszę sięgnąć do Monitora Folskiego z 28.II.1973 r. Została ustalona sztywna cena 710 zł za 1 m kw. Proszę się nie niepokoić, poinformujemy o tym wszystkim pani zakład pracy. Dopłaty nie musi pani płacić jednorazowo, przewidziano rozłożenie jej na 12 rat miesięcznych — wyjaśnia prezes.

Petentka ma jednak żal. Gdyby otrzymała mieszkanie w ub. roku, nie musiałaby dopłacać. — Wie pan, naprawdę nie wiem, czy w końcu wezmę to mieszkanie. Jest mi bardzo ciężko, może się starsze dzieci będą chciały ożenić? A to pismo o tych nowych cenach kiedy wyślecie? Jeszcze w tym miesiącu? No to dziękuję.

— Proszę być dobrej myśli — dodaje prezes — w grudniu przyjdzie pani do nas ze skargą na usterki.

— Myśli pan? — uśmiecha się trochę z niedowierzaniem.

Kolejna interesantka. Już mieszka na Sadach. Wpłaciła za dużo na mieszkanie, ponad 4 tysiące złotych. Są to pieniądze z osobistego wkładu, chce je wycofać. — Nie ma przeszkód — mó-

wi prezes po skonsultowaniu się z rachubą — w sobotę je pani otrzyma. A jak się mieszka? — Dziwnie; na razie mamy kłopoty z drzwiami, oknami i podłogą, ale jesteśmy szczęśliwi, jesteśmy u siebie.

Zofia G. rozwidła się z mężem, nastąpił sądowy podział majątku. Mieszkanie typu M-3 sąd przyznał jej. Niestety, były mąż nie wyprowadził się z mieszkania. Musiała to zrobić ona. Mieszka u matki w pokoiku dającym schronienie 7 osobom. Czy istnieje jakaś szansa powrotu do własnego mieszkania?

— Jest pani członkiem spółdzielni, należy się pani w obecnej sytuacji garsoniera. Otrzyma ją pani, ale, niestety, dopiero w 1974 roku.

— Ależ ja mam mieszkanie i chcę do niego wrócić — mówi ze łzami w oczach. — Chcę zabrać ze sobą matkę, jej się też coś od życia należy. — Dobrze, rozpatrzmy tę sprawę — zmienia decyzję prezes — zjawi się u pani i u byłego męża ciałko społeczne, komisja lokalowa. Jeżeli były mąż nie jest członkiem spółdzielni, trzeba go będzie eksmitować.

Pan M. jest pracownikiem KZWM od 1959 roku. Od 1964 r. ubiega się o mieszkanie spółdzielcze, mieszka w pokoju z kuchnią z 4-osobową rodziną, studiuje zaocznie. Z chwilą zorganizowania w KZWM spółdzielni mieszkaniowej, która zresztą wkrótce została włączona do KSM, usiłował dostać się na zakładową listę. Niestety, bez powodzenia. Oświadczone mu tam, że nie warto, skoro od lat jest członkiem spółdzielni to i tak dostanie mieszkanie. Interweniował u dyrektora, który na jego podaniu napisał: „Prezes Kalemba, proszę załatwić w pierwszej kolejności”.

Znów długie wyjaśnienie prezesa, z którego wynika, że jakkolwiek wysoko ceni on sobie podpis dyrektora KZWM, to jeszcze wyżej ceni statut spółdzielni i obowiązujące przepisy. Musi postępować zgodnie z tymi dokumentami, które nakazują, by wszyscy członkowie spółdzielni traktowani byli jednakowo. KZWM ma swoją pulę mieszkań, którą może dzielić według uznania. Proszę interweniować w zakładzie — kończy swój wywód prezes.

— Widać z tego, że byłem głupi oszczędzając pieniądze, wpłacając w 1964 roku wkład mieszkaniowy. Trzeba było czekać jak inni — mówi rozgoryczony M.

— Trochę cierpliwości, za rok znajdzie się pan na liście przydziałów — próbuje bez przekonania ratować sytuację prezes.

Wchodzi kobieta, widoczny niedowład nogi. Mieszka w Masłowie, dojeżdża do pracy w Kielcach. Pracuje w Spółdzielni Inwalidów. Praca akordowa. Zarabia miesięcznie od 800 do 1600 złotych. Zależy od zamówień, od dostaw surowca. Numer rejestru 8292. Pełny wkład wpłaciła dopiero w 1969 roku, przedtem nie miała pieniędzy. Mieszka u siostry, z matką, która jest na jej utrzymaniu. Razem 7 osób w

chałupie. Kiedy może dostać mieszkanie?

— Jeszcze ze trzy, cztery lata trzeba poczekać — tłumaczy prezes — ale czy, przy pani zarobkach, uda się to mieszkanie utrzymać? Trzeba będzie płacić miesięcznie prawie 600 zł za czynsz, wodę i światło. Czy próbowała pani starać się o mieszkanie w kwaterunku?

— Próbowałam, ale skierowali do spółdzielni.

Prezes bezradnie rozkłada ręce, a reporter pozwala sobie na luksus zrobienia na marginesie notatek uwagi:

— **Kto wobec tego dostaje mieszkania w budownictwie rad narodowych, skoro dwie niemłode kobiety, z których tylko jedna pracuje zarabiając średnio 1200 zł miesięcznie, kierowane są do spółdzielni?**

Obywatel S. ma numer rej. 6899 oraz fatalne warunki mieszkaniowe. Szczerze mówiąc, nie jest to mieszkanie, lecz po prostu szopa. Zameldowany jest z rodziną czasowo. Prosi o przyspieszenie przydziału mieszkania. Interwencja kończy się obietnicą przysłania społecznej komisji lokalowej.

Po wyjściu interesanta dowiadujemy się, że adres tej szopy jest doskonale w spółdzielni znany. Właściciel wynajmuje ją za bająskie sumy informując lokatorów, że stąd wyprowadzą się do prawdziwego mieszkania w ekspresowym tempie. Podobno nie jest to gołostowna reklama.

Rodzice z dzieckiem na rękę. Nietypowi. Słyszeli, że KSM poszukuje gospodarzy domowych, sprzątaczek, palaczy c.o. Wezmą każdą pracę, byleby tylko dostali mieszkanie. Wizyta trwa krótko, rzeczywiście KSM poszukuje dozorców i rezerwuje dla nich mieszkania. Jutro w kadrach podpisze się umowę, dostaną także klucze do mieszkania. Rzadko się widzi tyle szczęścia. Nawet dziecko przestaje płakać.

Wchodzi młody wojak. Numer rejestru straszliwie wysoki — 11.563. Wpłacił na mieszkanie typu M-2, ale właśnie się ożenił i chce M-3. Ma się rozumieć dopłacić, ale czy ta zmiana nie wydłuży okresu oczekiwania?

— Oczywiście wydłuży — mówi prezes. — Przed panem jeszcze 4,5 tys. rodzin, czekających w trudniejszych sytuacjach. W każdym razie życzyć szczęścia na nowej drodze życia.

Wojak z posępną miną przyjmuje gratulacje, wołałby zapewne jakąś bardziej konkretną obietnicę.

Młoda kobieta jest 37 na tegorocznej liście przydziału mieszkań. Nie zadowala jej to jednak: w zeszłym roku też byłam na liście — mówi — i nie mieszkałam do dziś.

— Musieliśmy wiele mieszkań przekazać dla rodzin, których domy zostały wyburzone. Miasto się rozbudowuje, nie można z dużymi inwestycjami o ogólnomiejskim znaczeniu czekać zbyt długo. Inni nas wyprzedzą, mówiliśmy zresztą na ten temat z państwem — próbuje wyjaśnić sprawę prezes. — Istnieje uchwała,

że ci z wyburzeń otrzymują u nas mieszkania w pierwszej kolejności.

— A kiedy ja je otrzymam?

— Myślę, że na początku II półrocza br. W I półroczu prawie wszystkie mieszkania przeznaczamy dla tych z wyburzeń.

— To znaczy nic pan dla nas nie może zrobić? Nie dostaniemy w tych dniach mieszkania? Rozumiem, spróbuję załatwić gdzie indziej.

— Życzę powodzenia — mówi uprzejmie prezes i z rozmachem zapala „sporta”. Prezesowi nie wolno się denerwować.

Kolejna interesantka. Młoda mężatka. Mieszkają z mężem oddzielnie: ona u swoich rodziców, on naprzeciwko, u swoich. Widują się na klatce schodowej lub w kawiarni (znana jest powszechnie rola teściów). Mają dziecko, które zna ojca z fotografii. Przecież tak dłużej nie można — rozpacz młoda kobieta — nie wytrwamy, rozejdziemy się.

Prezes powtarza reguły gry: najpierw wyburzenia, fachowcy, nadmiernie zagęszczeni i dopiero młode małżeństwa nie posiadające mieszkań. Za mało budujemy, proszę pani, rocznie jakieś 950 mieszkań, z czego ponad połowę oddajemy rodzinom z wyburzeń, zakładom pracy i specjalistom. Gdybyśmy budowali dwukrotnie więcej, o połowę skróciłby się czas oczekiwania na mieszkania.

— Rozumiem — mówi młoda mężatka — ale jak to wytłumaczyć dziecku?

Robi się późne popołudnie. Dostajemy kawę, za drzwiami słychać pokaszliwanie, niegłośnie rozmowy. Ludzie przestrzegają kolejności, wpisali się na listę przyjąć wcześniej, teraz przychodzą po pracy z nową nadzieją, z nowymi papierkami i argumentami.

Wchodzi młoda dziewczyna i pyta: co się musi stać, żeby otrzymać mieszkanie? — No, jakaś klęska żywiołowa — mówi prezes — nagle zawalenie się domu czy coś w tym rodzaju.

— Mam to za sobą — mówi dziewczyna — właśnie zawalił mi się dom.

— Ma pani na to jakiś dokument?

— Niestety, mieszkam na wsi, w GRN nie chcieli mi takiego zaświadczenia wydać. Mówili, że nie ma się czym chwalić. W gminie mówią, że to nie za ich kadencji, nie pamiętają. Prosiłam o taki dokument w zakładzie pracy, żeby pojechali, sprawdzili i napisali. Przewodniczący RZ powiedział, że mu nie będę dyktowała, co ma robić i pisać. Mieszkam w tej wsi nadal, w komorze przy obórze.

— Przyślemy komisję — mówi prezes, pomyślimy, jeżeli to prawda, przyspieszymy przydział.

Dwie panie, sąsiadki, razem mieszkaly w ruderze, razem wstąpiły do spółdzielni, są już na liście. Nareszcie normalne pytania: w jakiej dzielnicy, które piętro, co z windą, czy w kuchni będą okna, co z balkonami i czy mogą mieszkać obok siebie?

Prezes ma pole do popisu: — Drogie panie, otrzymacie mieszkania na Sadach, ładne mieszkania

o większym metrażu, z balkonami, z oknami w kuchni. Co prawda, nowe osiedle KSM, tzw. Bocianek, gdzie, jak się przewiduje, zamieszka ponad 11 tys. osób, będzie jeszcze wspanialsze.

Panie jednak nie zamierzają czekać, biorą, co jest. Dobrze że dopłata została rozłożona na miesięczne raty.

Wreszcie jest czas na jakąś rekapitulację wrażeń i refleksje, gdyż podobne sytuacje mają miejsce co tydzień w każdej spółdzielni. Budujemy zbyt wolno i ciągle za mało mieszkań. Każdy sposób zwiększania ilości nowo budowanych mieszkań będzie dobry. Spółdzielczość mieszkaniowa proponuje zakładom dysponującym samodzielnymi oddziałami wykonawstwa inwestycyjnego — oddawanie zmontowanych budynków (tzw. stany surowe) w celu wykańczania ich własnym sumptem. Są pozytywne przykłady. Nie trzeba dodawać, że chwilowo każdy przydział oglądany jest drobiazgowo ze wszystkich stron. Nie zawsze jednak z dodatnim efektem: oto na liście specjalistów (bardzo wysoko zatwierdzonej) figurują np. fachowcy weterynarze sprowadzeni do Kielc z powiatu buskiego. Czy naprawdę

nie ma tego rodzaju specjalistów jeżeli już nie w samym mieście to w najbliższym sąsiedztwie?

A skoro już o tym mowa: czy ktoś przewidział, ilu fachowcom w związku z uruchomieniem w Kielcach WSP — należy w tym roku wręczyć klucze do mieszkań? Fachowiec fachowcowi nie równy.

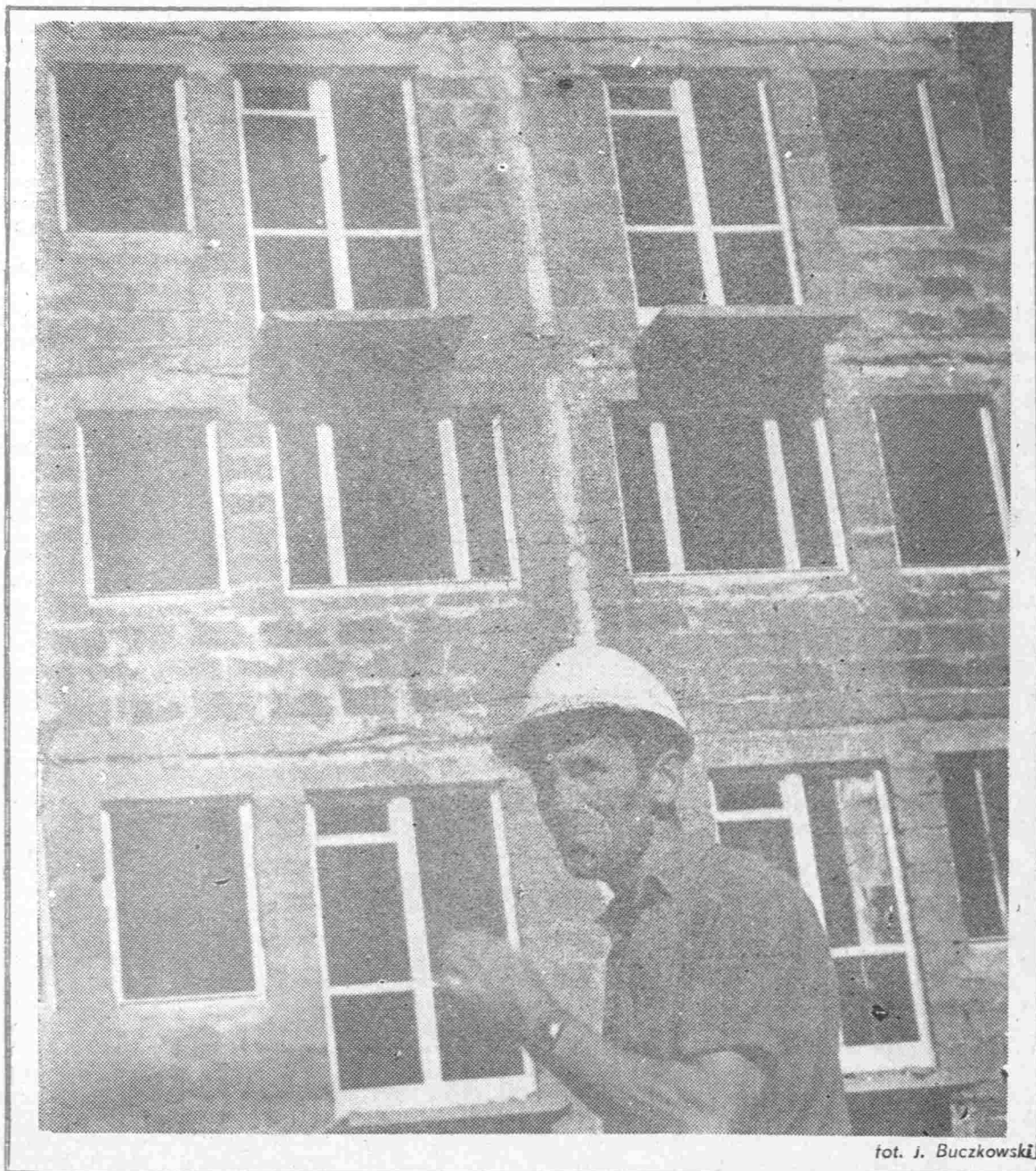
Chciałoby się po prostu zapytać także, dlaczego inż. X z Rzeszowa musi być lepszy od inż. Y z Kielc? Wątpliwości można mnożyć: oto pracownik KZWM (o którym wyżej) od 8 lat jest członkiem KSM i czeka na mieszkanie, podczas gdy jego kolega, który beztrząsco oczekiwał cudu, doczekał się go, został wpisany dwa lata temu na listę zakładową i już mieszka.

Tego rodzaju wątpliwości pojawiają się tym częściej, im mniej jest mieszkań do podziału. Wracamy zatem do punktu wyjścia: budować więcej. Ale to już zależy od budowlanych, ich operatywności, stosowanej dziś technologii: od rozbudowy zaplecza, szybkiego uruchomienia nowoczesnych fabryk domów (oby doskonalszych od tej w Radomiu) itp. Utworzone z tak wspaniałym wyczuciem koniunktury Wojewódzkie Zjednoczenie Budowy Domków Jednoro-

dzynych zajmuje się tym, czym się zajmowało przed zmianą nazwy — mianowicie produkcją trylinki i krawężników, co zdaje się po raz nie wiadomo który potwierdzać starą prawdę o braku jakiegokolwiek skuteczności wszelkich formalnych przesunięć czy posunięć. A przecież wybudowanie w ciągu roku 400, 500 domków jednorodzinnych (a tyłu jest kandydatów z bogato zapisanymi książeczkami PKO) znacznie mogłoby złagodzić kryzys mieszkaniowy w mieście.

Podczas ostatniej wojewódzkiej konferencji partyjnej mówiło się o podwojeniu ilości oddawanych po roku 1975 mieszkań. Nie sądzę, aby mogło to nastąpić z dnia na dzień — już dziś trzeba się do tego programu przysmerzać.

Dopiero wówczas opowieści ludzi nawiedzających gabinet prezesa KSM będą o parę tonów jaśniejsze, weselsze i mniej beznadziejne. Hamletowskie „być albo nie być” jest dziś w Kielcach bardziej prozaiczne: być — to mieć mieszkanie, nie być — znaczy nie mieć mieszkania, wegetować kątem, czekać w kolejce. Nie jest to wprawdzie dramat na dużą scenę, ale na miarę rodziny — tak. Dramaty jednak, jak wiadomo, wolimy oglądać na scenie lub w telewizji, chociażby w małym, ale własnym M-2.



tot. J. Buczkowski



Mrówki półświatka

Olaf Leśny

W środku miasta burzą rudery. Znikają komórki, przybudówki, od których niesie kwaśnym odorem starego drewna, cegieł, zbutwia-
łej ściółki na stryszkach. Przy jednej z uliczek, w na pół rozebranej oficynie gnieźdzą się trzy młode prostytutki. Przychodzi doń młódź szkolna, bokobroda i gokowasa, zaglądają robociarze oderwani na chwilę od akordu, a nawet upodobał sobie wielce te ruiny pewien szpakowaty pan w brązowym płaszczku. Babcia frywolnych wnuczek, stuknięta kobiecina, od kilku lat patrzy na ten proceder beznadziejnie. Czasem odzywa się w niej jakby sumienie. Krzyczy wówczas, zwłaszcza na starszą klientelę: — Buhaje, knury przekłete! A toż to dzieci jeszcze, coście z nich zrobiły...

Dziewczyny są brzydkie, chude; ich pijacki chichot jest odrażający. Już wkrótce stąd się wyniosą. Dostaną nowe mieszkanie w ładnej dzielnicy. Może tam, w innym środowisku, zerwą z dotychczasowym zawodem? Pani Teresa, sąsiadka, kręci na to głową:

— One polubiły tę robotę. Łatwo można zrobić forszę. A przy tym napić się do syta darmowej wódki. Takie już pozostaną.

Patrzę przez okno. W ciągu godziny naliczyłem ośmiu klientów. Teraz znów trzech wyrostków, z sikaczem w kieszeni, pcha się po stromych schodkach na stryszek — Dziś mają dobry dzień, te panienki — czynię uwagę. — Sporo mogą zarobić. Moja rozmówczyni inaczej to interpretuje:

— Marnie im płacą. Bo dawno by już były milionerkami!

Niewątpliwie należą do najgorszej klasy, najslabiej opłacanej. Słowem — łatwo dostępne dla ogółu, zwłaszcza dla klientów o niskich stawkach uposażenia. Elita trzyma się stolików w lokalach gastronomicznych, takich jak „Centralna”, „Jodłowa”, „Świątokrzyska”. Niektóre specjalizują się w podrywaniu

turystów — zagraniczników, inne zadowolają się artystami, dyrektorami; często bogaty rzemieślnik, dorobkiewicz, zostaną obdarzeni ich łaskami. Na ogół ta kategoria pań trzyma się zasady: mniej, ale drożej! Oszczędzają się, aby urody jak najdłużej starczyło. Najładniejsze, najmłodsze, nawet po kilkaset złotych w ciągu nocy zarobią.

W kawiarniach — „Staromiejskiej”, „Kolorowej”, „Źródłowej” okupuje stoliki sort drugorzędny; są to przeważnie debutantki, zatrudniające się raczej dorywczo, względnie seniorek sterane uciążliwością nocnego trybu życia, nadgryzione zębem czasu. Oblicza się, że w Kielcach jest ponad sto prostytutek zdeklarowanych, nie licząc początkujących. Nie jest to pełny rejestr.

Lekarka, którą obowiązek służbowy zmusza do nadzoru i ciągłych kontaktów z tym środowiskiem, rozszerza listę o tzw. cichodajki. O ile tamte kategorie handlują swym ciałem głównie z chęci zysku, zarobku na swe utrzymanie, o tyle cichodajki kierują się wybujałym erotyzmem, ekstrawagancją, potrzebą wystawności swej egzystencji. Są to na ogół nobliwe skądinąd małżonki dobrze zarabiających mężusiów, zagonionych w harówce zawodowej. Z zasady nie biorą pieniędzy. Potrafią jednak złupić swą ofiarę w ciągu dąsingowego wieczoru na kilka tysięcy; najdroższy alkohol, wyszukane potrawy, drogie udominki, noc spędzona w hotelu.

— To raczej przygoda erotyczna!

— Czyżby? — powiedział mi na to wyższy funkcjonariusz milicji. — Kilkadziesiąt razy na rok? Niemal z reguły wciąż z innym partnerem? I kto płaci za wieczór?

Umówiłem się na rozmowę z cichodajką; postać ekscentryczną, znaną w wojewódzkim mieście. Młoda. Ekonomistka jednego z kieleckich przedsiębiorstw. Własne mieszkanie w nowoczes-

nym wieżowcu. Jej ojciec do niedawna piastował wysokie stanowisko; wychowana w bezkarności, dobrobycie. Ale na koniaki, dąsingi nie starczało pieniędzy. Z początku pełniła rolę damy do towarzystwa dla wyższej rangi urzędników, obcokrajowców. Okazji było sporo, więc ubaw, danse, zawsze alkohol, ekscesy erotyczne, miały posmak przygody. Pozostał po tym nałóg, burdy nocne, ponure opilstwo, przymusowe noclegi w izbie wytrzeźwień. Wciągnęła ją hulaszczka życia. Za co? Za trzy tysiączki pensji? Cudzoziemcy bywają bardziej zasobni w gotówkę, w obce środki płatnicze, zatem polubiła towarzystwo obcokrajowców. Pod ich finansową opieką wieczory są bogatsze w drogie trunki. Nadal jednak z pogardą odnosi się do koleżanek:

— To przecież k..., zwykłe k..., proszę pana! — krzyknęła mi Ekonomistka w twarz, gdy zapylałem ją o zdanie na temat współtowarzyszek.

Mniejsze mniemanie o sobie posiada Odrobinka, bywalczyń „Centralnej”. Gdy funkcjonariusz zapytał o zawód, odrzekła skromnie: na utrzymaniu konsumentów. Natura obdarzyła Odrobinkę obfitością kształtów i siłą boksera „ajcieższej wagi. Jednym ciosem może utrupić. Są tacy, masochiści, co gustują w Odrobince. Niedługo, przed kilku laty, była żoną bogatego posiadacza warsztatu. Prowadząc mu księgowość omal go z torbami nie puściła. A przecież ożłocił ją naszyjnikami, upięścił drogą, okolecykował i ofutrzył. Cóż, uciekła. Człek był w starszym wieku, zamysłony, nie doceniał innych, niematerialnych jej pragnień.

Ktoregoś popołudnia zmyliłem czujność „opiekuna” i umówiłem się w „Źródłowej” na bezinteresowną pogawędkę z dwiema panienkami:

— Powiedzcie mi, dziewczynki, jak to się stało, że wy, hm! wiecie o co mi chodzi...

Zaczęła opowieść Garsonka, młode, niebrzydkie dziewczę o przepitym głosie. Mamusia źle się prowadziła, więc sąd odebrał jej prawo opiekuństwa. Trafiła do domu dziecka. Potem poprawczak. Tam zasmakowała pierwszej miłości do innej koleżanki. Cnota w tym środowisku raczej w niskiej jest cenie. Kumpłowała w szkole z paczką chojraków. Tamci wieczorami okradali bezbronnych, żeby było na wino. W końcu wpadli. Wyroki. Prokurator wsadził za kraty również Garsonkę, chociaż przysięga, że nie wspólnego z napadami nie miała. Trudno, siedziała w cieniu kilka miesięcy. Zdobyła szlify ostateczne. Dużo się nauczyła, nasłuchała. Poznała w celi współwięźniarkę, co z ojcem staruchem miała dziecko; udusiła je zaraz po urodzeniu. Inna, służąca, podrzuciła zimną swą córeczkę do konfesjonu. Była pani ginekolog; wysłała ciężarną na drugi świat. Była tłusta lesbijka; zmuszała Garsonkę do czynów wyrafinowanych. A także siedziała z nimi alkoholiczka, mistrzyni sztuki złodziejskiej. Garsonka wyszła z cienia. Teraz „uczciwie”

zarabia na swe utrzymanie. Czy nie wolno jej dysponować własnym ciałem? Kto jej zabroni?

— A pierwsza miłość? Ta prawdziwa?

Garsonka kręci głową; na jej ładnej buzi błądzi demoniczny uśmieszek. Patrzy na mnie jakby z politowaniem. Milczy chwilę. Wyrywa się Marcyśka.

— Ja przeżyłam prawdziwą miłość!

— No proszę, ciekawe! — zachęcam do zwierzeń.

Pochodzi z niby-miasteczka, miejscowości śródlęsnej. Była w drugiej klasie liceum, gdy poznała swą sympatię. Uciekli kiedyś z lekcji, bo matematyczka straszyla klasówką. Trzeba było wiać z budy. Uciekli nad rzekę, w wikliny. W miasteczku, przy kamiennych chodnikach, kasztany kwitły i było późno na naukę. No więc, tam w wiklinach jej powiedział, że nigdy dziewczyny nie miał i chciałby spróbować. Ona też była ciekawa. Tak narodziło się uczucie, a potem jeszcze ktoś. Przerwała szkołę, kołyską trzeba było się zająć. Uczucie stygło z każdym miesiacem, ale rodzice i teściowie zawlekli ich przed ołtarz. Józek podjął pracę w miejscowym przedsiębiorstwie. Zaczął pić. Nie było go nieraz przez kilka dni. Marcyśka płakała. W końcu rzekła tak: za każdą noc łajdaczenia nie będzie mnie w izbie przez dwie noce. Pamiętaj! Nie pomogło. Zaczęła więc uciekać ze swym kolegą do Kielc. Pokazał nocne atrakcje. Miał pieniądze uskładane w peka-o. Na motor. Wkrótce Józek kopnął szefa i dostał dwa lata. Marcyśka ma dwadzieścia wiosen i wcale nie zamierza tęsknić za więzieniem. Miasteczko jej zbrydło, izba zbrydła, kartofle z mlekiem — też. Dzieciak uprawia ją o młodości. Chce tańczyć, bawić się; żeby alkohol szumiał pod kokiem, żeby sznyceł wieprzowy, bez kości, żeby kawa mrożona na drugi dzień po hulance. No, ale coż, centusiów brak. Teraz mam pieniążki — kończy dziewczyna spowiedź.

— Marcyśka, ty nie wiesz jednak, co to jest miłość.

Trąciły się kłociami. Zaczęły siorbać kawę.

Pryczmione światło nocnego lokalu. Przed północą. Orkiestra rznie upojnie, pary skaczą po parkiecie.

... Primabalerina, primabalerina — szansonistka lka w mikrofoni matowym altom. Dansory posapują, tamten kraciastą chusteczkę wyciąga. Pewnie żona mu wypręła, gdy wybierał się w podróż służbową, na delegację. Obok młoduch w opietych dzwonach; rozmarzenie marcowego ciełęcia. Tarmosi starszą jejmość. Tu najbliższ, w cieniu, grubasek podskakuje jak kulawy wróbelkę po klepisku. Podchmielony, rozanielony, mie-siste wargi obliżuje. Lepi się doń dziewczę co nieco wymięte.

...Primabalerina, primabalerina... — sala zanosi się altom.

Gdy wychodzili z pokoju, ona drzwi zamykała. Może nie-
zbyt uważnie tę czynność speł-
niła? Dostyc na tym, że gruba-
sek tu tańczy, a w jego walizce

ktos buszuje. Jutro grubasek w recepcji bedzie przysiegal, ze drzwi osobiście zamykal, a klucz portierowi doręczył.

...primabalerina, primabalerina...

Nie zawsze tak upojnie. W polowie lutego skonczylo sie rozróbą. Odrobinka strzelila w zęby Fikę. Bufetowej, Kwaśniewskiej, nawymyslala od kurek. Sypnela stekiem wyzwisk. Wokanda: Wysoki Sądzie, rzecze pózniej Odrobinka, jak nie strzelic w zęby, skoro Fika ubliżala. Darla sie na cala sale, ze donosze milicji. Czy ja na taka wygladam? Wiece ja potrzasnalam. Nerwy mam slabe.

Kilka dni wzescniej tez byla burda; Kądzioła ze Skośnooką za ondulacje sie ujely, tarzaly sie na parkiecie, gęby sobie obijaly. W wyniku starcia Kądzioła zostala rozebrana do pasa. Kwaśniewska wielce przytomna swiatlo zgasila, zeby wzród konsumentów nocnych nie posiac zgorszenia. Pochopna to byla decyzja; w ciemnościach zginela torebka, a w niej osiem tyściaków.

Ta sama „Centralna“, trzy dni pózniej. Marcyśka poszla z Witusiem do hotelu, aby napić sie wódki i pewna czynność dyskretnie wykonac. Mial za to pozyczyc dwie stówki. Tak rzecze Marcyśka. Witus z wdzięków skorzystal, ale dwie stówki wzial z powrotem, gdy ona byla w lazience. W swej dobroci podešlal jej za to chętnego, takiego niedźwiedzia. Wiece Marcyśka rozeżlona zesla na dol, do barku, i strzelila w zęby Witusia. Witus wstal godnie z wysokiego krzesla i zaprawil ja sierpowym. Potem dołozyl bykiem, w wyniku czego bylo duzo krwi przed barkiem, z zemdlonej Marcyśki.

Stanisław Sada, dyrektor kieleckich hoteli, informuje: pewien pan z Warszawy zostal oskubany na 15 tyśięcy. Przysiega oskubany, ze sam spal. A myśmy ujawnili siatkę na włosy i inne ślady obecności kobiety. Zostawila mu tylko szalik i kapelusz.

Zdzisław Kowalski, kierownik hotelu „Centralnego“: chodzi taka jedna, co specjalizuje sie w zagranicznikach. Cwana. Facet nie chcial placic, wiece dalejze wrzeszczec, ze gwalca. Narobila rabanu. Jej tatuś, człek wielce wpływowy, omal personelu hotelowego nie kazal natychmiast z pracy zwolnic. A nie laska zaciekawic sie, co cōrus robi o północy w hotelu?

Inż. Bolesław Tupaj, kierownik restauracji „Centralnej“: przedwczoraj przyszla taka jedna. Stala bywalczyni. Nie powiem która, bo tatuś i mamusia na mnie sie obraza. Byla, jak zwykłe, pijana; strzelila w zęby portiera, mnie tez przyložyla. Zwymyslala najgorszymi wyzwiskami. Aresztowali. Mial byl sąd w trybie przyspieszonym, za chuligaństwo. Odwołali. Ktos wpływowy zadziałal.

— Proytucja w swej czystej postaci nie jest wielkim złem społecznym — mówi milicjant. — Nie jest karalna, jeśli nie pociaga za sobą innych przestępstw. Ale jest kryminogenna. Kradzieże, burdy pijackie, szzerzenie chorób wenerycznych, oto kon-

sekwencje nie kontrolowanej proytucji. Wy, reporterzy, nie macie odwagi napisac wprost: domy publiczne bylyby mniej-szym złem społecznym niż nie kontrolowany seks w bramie, w piwnicy na zawsonym barłogu, pod plotem, w melinie.

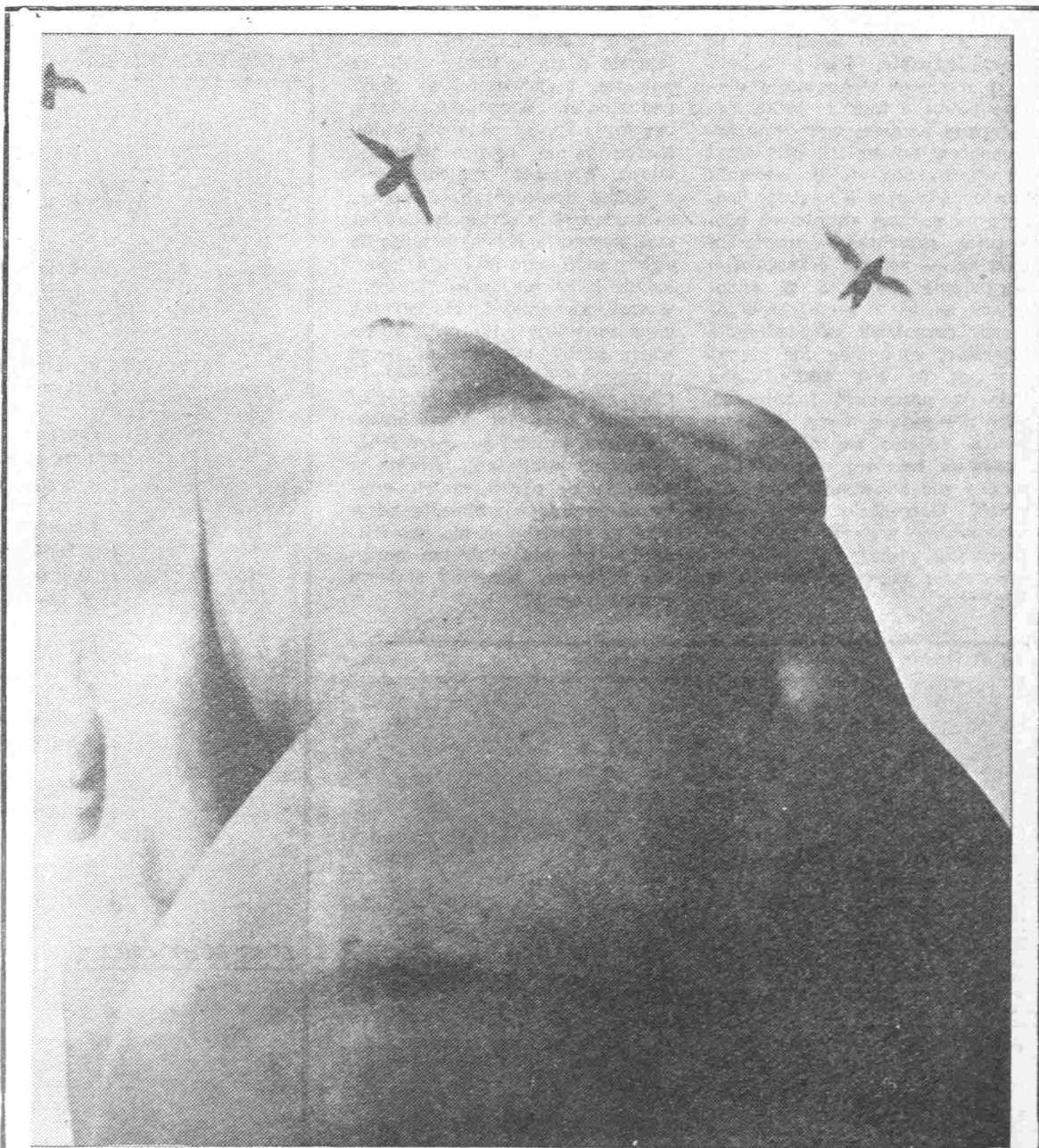
— Coś podobnego! — dziwie sie milicjantowi.

Prawdę mówiac, nie pierwszy raz słyszalem ów postulat. Niedawno rozmawialem z lekarką, dr Marią Kowską, specjalistką wenerologiem. Tak mi powiedziala:

stytucji jest wyraźnym pogwałceniem wolności osobistej. Obywatelka ma prawo dysponować własnym ciałem, bez uprzedniej zgody prokuratora.

Przytaczam te wszystkie poglądy gwoi reporterskiej rzetelności. Nie przekonują mnie całkowicie. Cicha zgoda na domy publiczne byłaby w pewnym sensie nobilitacją nierządu. Moralnym rozgrzeszeniem. Zresztą, takie przybytki w żadnym wypadku nie zlikwidowałyby proytucji pokątnej. Grupowałyby zaledwie elitę z tego środowis-

ze około sto tyśięcy Francuzek zajmuje sie prostytucją, w tym ponad 30 tyśięcy — zawodowo. Inne oddaja sie kultowi płatnej miłości od przypadku do przypadku, kilka razy na miesiac, czasem rzadziej. Publicysta podkrešla fakt, ze upośledzenie ekonomiczne kobiet, ograniczenie awansu społecznego, zawodowego, spycha przedsiębiorczy element na margines obyczajowy. Chyba myli sie autor. Nie tylko ze wzgledów materialnych uczciwa dziewczyna schodzi na psy. Decydują o tym bardziej złożo-



fol. W. Parys (z krakowskiej wystawy „Wenus“)

— Owszem, domy publiczne bylyby mniejszym złem społecznym. Można byłoby objąć to środowisko ścisłszą opieką lekarską, milicyjną. Przeprowadziliśmy któreś nocy obławę na prostytutki celem ich przebadania. 80 procent złapanych bylo zarażone rzeżączką i kilą. Nawet same o tym nie wiedziały. Największa zachorowalność jest w Ostrowcu, Radomiu, Skarżysku. Kielce są na czwartej pozycji.

Pewien starszy pan z klubu dziennikarskiego rzekł mi w zaufaniu:

— Proszę nazwiska nie ujawniac, bo żona Bóg wie co o mnie pomyśli. Uważam jednak, ze rygorystyczne zwalczanie pro-

ka. Powiem więcej: obyczajowość współczesnych dziewczyn jest na tyle swobodna, łatwość zdobycia ich sympatii jest tak prosta, ze jedynie największe niedolegi uciekają sie do usług prostytutek. Ten zawód bywa bezprzecznie źródłem przestępczości, konfliktów; zatem warto ograniczyć tę wolność jednostki, naprawdę warto, w interesie ogółu.

* ☆ *

W jednym z numerów tygodnika „Forum“ przeczytałem artykuł z prasy francuskiej pod wymownym tytułem: „Najstarszy, ale czy konieczny?“ Dowiedzialem sie z tej lektury,

ne czynniki, ze sfery socjologii i psychologii społecznej: wychowanie, alkoholizm, tradycje rodzinne, temperament, nacisk środowiska, psychopatyczne skłonności. Mjr Mieczysław Gryga z Komendy Miejskiej MO w Kielcach krótko sie wyraża: chorobliwy erotyzm pcha je na tę drogę. Owe panienki po prostu cholernie lubią tę robotę. I wódkę. Alkoholizm rozbraja moralnie.

W Kielcach nie ma proytucji ulicznej, nachalnej, jak to bywa w krajach zachodnich. Jednak wciąż istnieje, mimo odmiennych warunków ustrojowych. Jan Drózd, kierownik Wydziału Spraw Wewnętrznych Prezydium MRN, a zarazem

przewodniczący Kolegium do Spraw Wykroczeń, opowiada, że ani razu nie ukarano żadnej kobiety za uprawianie prostytucji. A przecież organa ścigania przestępstw są uzbrojone w artykuł 142 kodeksu wykroczeń: „Kto natarczywie, narzucając się lub w inny, naruszający porządek publiczny sposób, proponuje innej osobie dokonanie z nią czynu niegodnego, mając na celu uzyskanie korzyści materialnej, podlega karze aresztu, ograniczenia wolności albo grzywny.”

— To bardzo delikatna sprawa — zwraca uwagę kierownik. — Jak takiej udowodnić, że narzuca się swemu klientowi? W sądzie krzyknie, że go pokochała od pierwszego wejrzenia i dlatego poszła z nim do łóżka.

Jeszcze bardziej wymowny argument w tej materii przytoczył mi wspomniany wyżej kierownik hotelu, Zdzisław Kowalski: jedna z najbardziej aktywnych prostytutek, studentka — nawiasem mówiąc — została oskarżona o uprawianie nierządu. W odpowiedzi na to, z triumfem w oczach, przyniosła zaświadczenie lekarskie, że hymen ma nienaruszoną. To był fakt. Trzeba było ją przeprosić i zabiegać, żeby nie podała skargi do sądu. Potem dopiero się okazało, że stosowała bardziej zmyślne pieśczęty niż konwencjonalny stosunek. Oczywiście taksa była wielokrotnie wyższa. Takich pułapek jest więcej.

Dyrektor naczelny zakładu w Kielcach:

— Co? Ona i margines społeczny? Ależ to bezczelność! Nasza pracownica jest solidna, uczciwa, bardzo koleżeńska. Zdiscyplinowana. Wszyscy ją szanujemy. Lubi czasem się zabawić, kieliszek wychylić, ale żeby ją nazwać...

Młoda prostytutka do reportera:

— Tak, biorę po pięć stówek, czasem wystarczy mi stówka. Ale spróbuj nazwisko moje wymienić w prasie. Będiesz siedział za zniesławienie.

Przeglądam właśnie pękaty notes reporterski, pełen życiorysów, nazwisk, pseudonimów, adresów, danych statystycznych. Przewijają się przez te kartki ciekawe postaci, o jakże różnej indywidualności. Wszystkie jednak, bez wyjątku, są alkoholikami. Nieraz mimo bardzo młodego wieku. Większość z nich wyszła z dołów społecznych, z nędzy, ze środowisk przestępczych. Niemal wszystkie charakteryzują się niskim poziomem intelektualnym; ledwie kilka klas szkoły podstawowej, zasadniczej, czasem nie ukończone technikum. Myślę więc: gdyby tak wyeliminować w przyszłości te materialne czynniki, gdyby zwiększyć odpowiedzialność rodziców za wychowanie córek, śmiejeł stosować środki nagany publicznej, właśnie w stosunku do ojców, matek, gdyby skuteczniej, publicznie potępiać to zjawisko, a nie przemilczać — kto wie, może ten margines społeczny uległby stałemu pomniejszeniu?

Rozmawiam z matką puszczałskiej:

— Nic nie poradzę — mówi. — To jakiś wyrodek, nie córka.

Rozmawiam z ojczymem drugiej dziewczyny, czerwono nosym:

— Panie, to już taka jest ta współczesna młodzież.

Rozmawiam z trzecią kobietą. Mruży do mnie oko, jak kocica drapana w grzbiecie:

— Dziennikarzu, a cóż to strasznego, że ktoś ją czasem poglaska po kolanie?

Rozmawiam z czwartą kobietą, steraną, zagniewaną. Twary starowiny rozszerza się w bezzębny grymasie. Nagłym ruchem chwyta za rękojeść zdartej miotły:

— Co, z prasy? Aaa, tu cię jeszcze nie było, skurwielu!

Truchoikiem zbiegłem po schodach. Obejrzałem się dopiero za zakrętem.

— Primabalerina, primabalerina — nuciłem pod nosem, jak gdyby nic, łapiąc głębszy oddech.

OLAF LESN

RAFAŁ ORLEWSKI

Wy — myślątka

Wyssane z palca mogą być nie tyle wiadomości, co przede wszystkim bakterie.

* ★ *
Małżeństwo jest legalnym epitafium cnoty.

* ★ *
Podpisując się jako anonim zdajesz swój plód na los ślepego przypadku.

* ★ *
Dlaczego symbolem poezji jest koń? Mógłby być nim byk. Poezję trzymałoby się wtedy za rogi, nie za ogon.

* ★ *
Niewiara w wygraną nie powoduje przegranej.

* ★ *
Chuligan jest jak artysta: musi mieć odbiorców.

* ★ *
Pchła jest pożyteczna: przypomina, że istniejemy.

ADAM KOŁODZIEJCZYK

FRASZKI

CIERPIENIE W MILCZENIU
Często się spotyka szmirę.
Jakże rzadko zaś DIES IRAE!

KONSUMPCJA MUZYKI
W opery CARMEN wsłuchany tony
czulem, że dobrze jestem CARMiony.

NA PEWIEN SOPRAN
Śpiewa w operze,
lecz stwierdzam w przerwach,
że gra (na nerwach)
aż licho bierze!

KOŁYSANKA
Nie marudź, prędzej
śnij... o potęgach!

PROPORCJE
Długie przetrwają lata
krótkie apoteigmata.

fol. T. Szmidt



kobie
Twam
w bez
m ru
zdarzaj

tu cię
lu!

o scho
iero z

abaler
m, jak
oddech

LESNY



fol. A. Pęczalski

ROMAN TOBOŁA

Kto to?

Wyszedł na wieżę i trąbi;
miasto jak dłoń,
wroga nie widać,
ziemia nie pęka;

Stoi na wieży z kości słoniowej.
Trąbi.
Gołębie płoszy.
Z sił opada.
Ho, ho.

wspomnienia

Był już niejeden las...

Włodzimierz Ster

Wracamy do wspomnień. Zatarły się szczegóły, więc próbujemy je odtworzyć wspólnymi siłami. Zbliżamy obrazy tworzenia się ludowego Wojska Polskiego sprzed lat trzydziestu. W rozmowie biorą udział płk Józef Matuszewski i kpr. Mieczysław Maksym, jedni z tych, którzy stanowią kronikę tamtych lat.

Przed wojną mieszkałem we Lwowie — zaczął płk Matuszewski. — W 1941 roku powołano mnie do Czerwonej Armii. I tak się zaczęła moja wojenna droga. Między Orłem a Briańskiem leży mała miejscowość o nazwie Pocze. Tam odbywałem pierwsze ćwiczenia.

21 czerwca 1941 roku w czasie zbiórki na placu apelowym oficer poinformował żołnierzy o napadzie Niemców hitlerowskich na Związek Radziecki. W tym też dniu złożyliśmy przysięgę. Każdy osobiście składał ją na ręce dowódcy i wpisywał swoje nazwisko do specjalnej książki. Od tej pory byliśmy żołnierzami w całej pełni. Trzeciego dnia zbudzono nas alarmem. Udał się na stację kolejową i po kilku dniach jazdy dotarliśmy do zapasowego pułku w

miejscowości Karsk. Z Polaków utworzono oddzielny pluton, którego dowódcą został porucznik Rękas. Szkolono nas intensywnie, w oparciu o nowszą technikę zbrojeniową. W wyniku niepomyślnych wydarzeń na froncie przetransportowano nas na dalekie tyły. W drodze podzieleno nas na dwie grupy. Jedna pojechała na południe, druga na Ural. Tak znalazłem się nad Kanią.

Pewnego dnia do kantorka kamieniołomów wezwano wszystkich Polaków. Pójdziecie teraz do polskiego wojska — powiedział przełożony. Komisja wojskowo-lekarska w Aleksandrowsku uznała nas za zdolnych do służby wojskowej. Na początku maja 1943 roku znaleźliśmy się w punkcie zbiorczym. Tam

spotkaliśmy dawnych kolegów, którzy przy podziale na dwie grupy byli skierowani na południe kraju. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Staliśmy w oknach pociągu i patrzyli, pełni nadziei i niecierpliwości. Na stacji Dywowo zobaczyliśmy polskich oficerów, w mundurach i z orzełkami na rogatywkach. Każdy chciał do nich podejść, pomacać, stwierdzić, że jest to rzeczywistość, a nie sen. Ktoś przemawiał, ktoś śpiewał „jeszcze nie zginęła”. Ustawiono nas w czwórki. Marszowym krokiem przeszliśmy Okę, przed nami sosnowy las i żołnierskie namioty.

P przed sieleckim obozem triumfalna brama z polskimi flagami i napisem: „Witaj żołnierzu — wczorajszemu tułaczowi”. Przy polowych stołach siedzieli oficerowie i zapisywali nas do polskiego wojska. — Zostałem przydzielony — mówi kpr. Maksym — do 1 pułku artylerii lekkiej. — Na mojej kartce napisali — mówi płk Matuszewski — 1 pułk piechoty. Po trzech dniach znalazłem się w Szkole Podchorążych. Nie było tu łatwego życia. Przedwojenni podoficerowie po dawnemu dawali w kość.

W pułku mieliśmy swoich poetów i kompozytorów — śpiewaliśmy stare i te nowe pieśni. Kaprale uczyli musztry, gonili, czasem ogłupiali, aż do momentu wręczenia broni. Przyjechał wtedy oficer radziecki. Staliśmy na placu alarmowym wyprostowani jak struna. Wziął karabin do ręki i powiedział: „Otrzymujecie broń z rąk oficera radzieckiego, wyprodukowaną przez naszego robotnika. Tą bronią będziecie sobie torować drogę do Polski”. Jeszcze coś mówił, ale już nie pamiętam.

Wróciliśmy do swoich namiotów, wyczyścili nową broń, zbudowali dla niej stojaki. I na ćwiczenia! Na zajęciach świetlicowych uczono nas tekstu przysięgi. Tego dnia, a była to niedziela, chyba 15 lipca 1943 roku, cała dywizja stanęła na placu alarmowym. Przyjechała z Moskwy Wanda Wasilewska i oficerowie ze Związku Patriotów. Ksiądz kapelan Franciszek Kubsza odprawił mszę polową. Potem odczytano tekst przysięgi. Powtarzaliśmy słowo po słowie. Echo niosło się przez las. Przysięgę odbierał mianowany w tym dniu do stopnia generała Zygmunt Berling. Dywizja otrzymała sztandar. Byliśmy teraz prawdziwym polskim wojskiem.

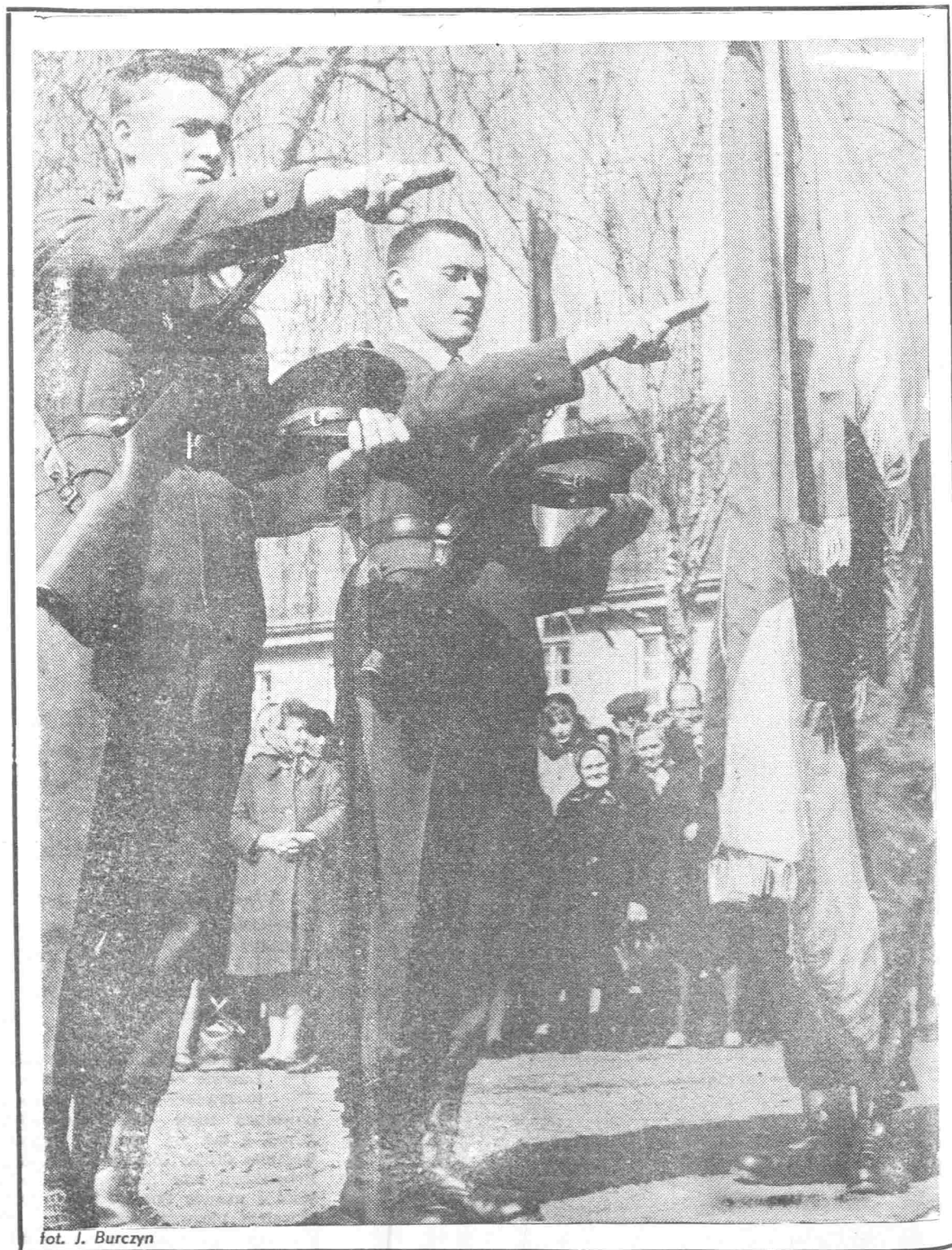
Pod koniec sierpnia otrzymaliśmy promocję na chorążych. Skierowano mnie teraz — mówi Józef Matuszewski — do 2 pułku piechoty na dowódcę plutonu. Jeszcze nie zdążyłem poznać swoich żołnierzy kiedy nadszedł rozkaz wymarszu na front. Szliśmy na zachód. W dredze mówiono, że będziemy walczyć o Smoleńsk. Później okazało się, że jest już zdobyty przez wojska radzieckie. Z okien pociągu widzieliśmy, jak miasto płonęło, wozadze dym i ogień.

Czekaliśmy na rozkazy. Oficerowie prowadzili zajęcia taktyczne tematycznie związane z

nowym systemem walki wprowadzonym przez Niemców na froncie wschodnim. Dopiero pod koniec września opuściliśmy Wiaźmę. Dni spędzaliśmy w lasach, ukryci przed eskadrami nieprzyjacielskich samolotów. Nocami na własnych nogach pokonywaliśmy po czterdzieści kilometrów. Wróg cofając się zniszczył mosty i szlaki kolejowe. Zmęczenie coraz bardziej dawało się we znaki. Maszerowaliśmy i spali w marszu. Dziewiątego albo dziesiątego października dotarliśmy w rejon wyjściowy do ataku.

Niosła ogień w głąb nieprzyjacielskich pozycji. Byli pierwsi zabici i ranni. Niemcy wiedzieli, że do walki pod Lenino skierowane polską dywizję. Przed nami rozległa nizinna, bagnista, brzeg rzeki Mierei. Na niewielkich wzniesieniach i wzgórzach usadowili się Niemcy. Ogniem karabinów maszynowych pokryli całą dolinę. Nadleciały samoloty. Rzucały bomby, wiązkę granatów, puste beczki, kawałki szyn, skrzynie, wszystko przeraźliwie wyło, gwizdało, można było oszaleć w tym piekle. Oni chcieli złamać nas psychicznie,

latał na niskich wysokościach. Po pierwszym dniu walki ściągnięto z odwodów 3 pułk piechoty. Szeregi pierwszego i drugiego mocno się przerzedziły. Zacięte walki trwały do 18 października. Po bitwie — stwierdza Józef Matuszewski — ich batalion został skierowany w okolice Smoleńska na tak zwany odpoczynek. Wojsko zakwaterowano w ziemiankach, a sztaby w ocalałych domach. We wsi było trochę starszych kobiet. Mężczyzn nawet na lekarstwo. Młodzież poszła na front lub do pracy na odległym zapleczu.



fol. J. Burczyn

P o rozpoznaniu terenu zajęliśmy pozycje. Z jedenaścigo na dwunastego października przez całą noc przekazywano oficerom i żołnierzom rozkaz dowódcy dywizji. Jeszcze o godzinie czwartej rano otrzymaliśmy gorącą zupę. O szóstej artyleria rozpoczęła kanonadę. Po dwóch godzinach zapaliła się nad naszymi głowami zielona rakietą. To był sygnał do ataku. Ruszyła piechota. Artyleria prze

skompromitować polskich żołnierzy. Nie mogę powiedzieć, strach siedział na plecach, ale szliśmy do przodu. Skapani we krwi i błocie zdobywaliśmy metr po metrze.

Niemiecka artyleria biła przez całą noc. Rano krążył nad nami samolot zwiadowczy. Pczęstowaliśmy go pociskiem, podskoczył do góry, zakołował i poszedł na swoją stronę. Nazywaliśmy go ramą, był opancerzony

Sporo zginęło, część wywieziono do Rzeszy.

— Front przesunął się na zachód. Nasza dywizja została w Szabanowie. Wojsko kopało rowy, budowało umocnienia. W marcu skierowano polskie jednostki w okolice Zytomierza. Tam właśnie z rozbudowanej dywizji powstał I Polski Korpus Sił Zbrojnych. Tam też ułożono piosenkę „Spoza gór i rzek wyszliśmy na brzeg”. Kiedy Armia

Radziecka zbliżała się do granic Polski, ruszyliśmy w kierunku Bugu.

Rzekę przekroczyliśmy na początku lipca — mówi kpr. Maksym. — Polska artyleria wspierała jednostki Armii Czerwonej przy forsowaniu Bugu. Ciągnąłem haubicę po rozmazanej deszczem glinie. Zabukowały koła, zachlapało błotem, a tu już świt rozjaśniał niebo. Niemcy na odległość rzutu kamieniem. Ciężka sprawa. Przybiegł oficer radziecki: wygrażał, kłął, ale w końcu pomógł wykarać się z opresji. Jego żołnierze pchnęli wóz i pojechaliśmy. Za Bugiem ziemia zastana trupami, nikt ich nie zbierał, koła samochodów czerwone były od ludzkiej krwi.

Szliśmy i jechali w kierunku Lublina. Najpierw krótki postój w Chełmie, pierwsze powitania i radości. Lublin wyzwoliła Armia Radziecka. Z polskich jednostek najszybciej wjechała do miasta artyleria. I tu, po wielu latach tęsknoty, poznaliśmy smak dziewczęcych pocałunków. Samochody obrzucano kwiatami, trafiała się nawet czekolada. Już chyba nigdzie nie przyjmowano nas tak gorąco i spontanicznie. Polska władza powstała w Chełmie Lubelskim zorganizowała defiladę. Pierwszą w tym mieście i na polskiej ziemi.

Później ruszyliśmy w kierunku Puław. Komunikat o Manifestie Lipcowym czytano nam w marszu. Na zebraniu już nie było czasu. Znad Wisły nadciąwały niemieckie samoloty. Obrzuciły kolumnę granatami. Mieliliśmy zabitych i rannych. Prosto z marszu w rejonie Puław i Deblina sforsowawszy Wisłę złapaliśmy przyczółek na lewym brzegu. Pospała się lawina ognia. Odcieć nam drogę. Część żołnierzy wycofała się pod osłoną nocy, reszta zginęła otoczona przez oddziały niemieckie. Tam właśnie poniósł śmierć radiotelegrafista Michał Okurzały. Po nieudanej próbie złapania przyczółka ofensywa naszych wojsk zatrzymała się na linii Wisły. I Dywizję im. T. Kościuszki skierowano pod Warszawę, gdzie od 1 sierpnia w oblężonej stolicy walczyli powstańcy. Dowódca korpusu wysłał jeden batalion dla nawiązania kontaktu. Ale niestety, próba pomocy nie powiodła się: nasi żołnierze nie nawiązali współdziałania z obrońcami Warszawy.

Staliśmy na prawym brzegu Wisły. Stolica dymiła, waliły się domy, ginęli ludzie. Oczyszczaliśmy z nieprzyjaciela Pragę, Ustratę, Anin, Zielonkę, Wawer. Niemcy przez swoje szkiełeczki próbowali nas kaptować. Proponowali lepsze żarcie. Odpowiadaliśmy kulami. I tak obrona przeciągnęła się do stycznia. Teraz ofensywa ruszyła na całej linii. Po dwóch dniach walk przeszliśmy zamarzniętą Wisłę. Naczelny wodzem polskiego wojska był już marszałek Michał Rola-Liżyński. Na miejsce gen. Berlinga przyszedł gen. Popławski. 19 stycznia w zniszczonej stolicy zorganizowano defiladę. Odbierał ją Bolesław Bierut.

Znów w kolumnie marszowej. W Bydgoszczy zajęliśmy koszary poniemieckie. Co sprytniejsi opróżniali maga-

zyny, zamieniali stare trzewiki na nowe buty. Pod koniec stycznia przekroczyliśmy przedwojenną granicę. Rozpoczęły się boje o Wał Pomorski. Przez całą wojnę Niemcy ulepszali fortifikacje, rozbudowywali umocnienia. Teren najeżony był żelbetowymi bunkrami, zaminiowany. Stwarzał wrażenie obszaru nie do zdobycia. Naturalnych przeszkód w postaci lasów, jezior i bagien także było sporo. Po opanowaniu miejscowości odbywało się obowiązkowe przeczesywanie terenu, albowiem Niemcy odchodząc zostawiali strzelców wyborowych, a ci polowali na naszych żołnierzy. Tak zginął — mówi płk Matuszewski — mój kolega, por. Klich. W pobliżu Märkisch Friedland z baterią 45 mm wjechaliśmy w las. Z gęstych krzaków na leśną przesiekę wychylały się tylko końskie łby. Padł strzał i jeden koń przewrócił się na ziemię, padł drugi strzał i zginął następny koń. Złapaliśmy tego strzelca. Żołnierze chcieli dokonać samosądu, ale dowódca batalionu nie zezwolił.

19 lutego pocisk artyleryjski zahaczając o gałąź drzewa rozzerwał się nad naszymi głowami. Trzech ludzi odwieziono do polowego szpitala. Wśród nich był nasz rozmówca, płk Józef Matuszewski. Po kilku dniach zmarł st. strzelec Marczak, pozostałych przewieziono pod Warszawę. I na tym zakończył się ich bojowy szlak w drugiej wojnie światowej.

Mieczysław Maksym dalej siedział za kółkiem samochodu, który dostał na początku swej wojennej drogi. Pod Złotowem — opowiada — Niemcy przypuścili szaleńcy atak na piechotę. Młodzi żołnierze zaczęli uciekać. My, artylerzyści, nie mogliśmy się wycofać. Próbowaliśmy zatrzymać piechurów, a kiedy to nie pomogło, z granatami w ręku uderzyliśmy na nieprzyjaciela powstrzymaliśmy kontrnatarcie. Pamiętam, jak na pełnym gazie wjechaliśmy do Märkisch Friedland. Zaskoczyliśmy Niemców impetem. Były straty, ale było także miasto. Zmęczenie i głód dawały się we znaki. Zobaczyłem pierwszych niemieckich cywilów. Podszedłem do nich. To były dwie kobiety. Bały się, było w nich więcej strachu niż w naszych kobietach. Może myślały, że po niemieckich okrucieństwach my też będziemy okrutni.

W Märkisch Friedland mieszkaliśmy w prawdziwym domu, smażyłem kotlety i spałem w pierzynach. Żołnierz z pierwszej linii frontu jest królem i katem. Na zdobytym terenie przez kilka dni on ustanawia prawa. Rozkaz wysłał do drogi. Poszliśmy forsować Odrę. Niemcy pośrodku rzeki zatrzymali pociąg pancerny. Siali z niego ogniem po całym brzegu. Macaliśmy ich kulami z armat. Długo się trzymali. W końcu i ten opór został przełamany. Po kilku dniach wyzwoliliśmy obóz koncentracyjny w Oranienburgu. Po raz pierwszy zobaczyłem krematorium i stosy ludzkich włosów, butów, ubrań.

Przed nami tylko Berlin, ostatnie gniazdo niemieckiego oporu. Wojna zbliżała się do

końca. Berlina broniły doborowe jednostki. Każdy żołnierz marzył już o rodzinnym domu. A tu potrzeba ofiar. Nikt nie chciał ginąć w tych ostatnich dniach. Niemcy strzelali ze wszystkich stron, nasi też. Były momenty dezorientacji. Dostałem rozkaz przeciągnięcia haubic w kierunku Politechniki. Pędziłem ulicami ile tylko mogłem wydusić z silnika. Pociski rozrywały się przede mną i za mną. Przejeżdżałem przez ludzi, cegły i gróź, aby tylko wykonać zadanie, aby uniknąć śmierci.

Haubicę wciągnęliśmy na trzeci piętro. Zlikwidowała sześć gniazd karabinów maszynowych. O tym już piszą w książkach. Był rozkaz zdobycia stolicy Niemiec na dzień 1 maja. Drugiego ogłoszono kapitulację. Poszliśmy do Politechniki obejrzeć mury, których nie mogły rozbić ciężkie działa. Teraz leżała w gruzach, a myśmy skakali z radości. Spotkałem tam młodszego brata. Obaj przeżyliśmy straszną wojnę. W takiej sytuacji nietrudno uwierzyć w szczęśliwą gwiazdę.

WŁODZIMIERZ STER

listy

Czy tylko kosztem państwa?

Do napisania tych kilku uwag skłoniły mnie tak modne ostatnio dyskusje na temat wypoczynku i rekreacji. Mówi się o tym i pisze przy różnych okazjach. I słusznie. Wydaje mi się jednak, że w całej tej sprawie zbyt wiele wymaga się od władz zakładów pracy, instytucji i organizacji. Nie, proszę mnie źle nie zrozumieć. Jest przecież rzeczą oczywistą, że obowiązek inwestowania, a głównie dobrej organizacji wypoczynku — tak urlopowego, jak i doraźnego, niedzielnego — spoczywa głównie na instytucjach do tego powołanych, administracji fabryk, władz terenowych itp. W tym wypadku chodzi mi o stworzenie szans wypoczynku indywidualnego, niejako na własną rękę — dla tych, którzy mają ochotę i możliwości do organizowania go według własnych upodobań. Pozornie szanse takie są, ale tylko formalnie. Bo przecież w praktyce, w sezonie turystycznym „indywidualista” jest skazany bądź na nocleg w stodołach, bądź też na koczowanie w namiocie. Nielegalne, gdyż właściciel nadrzecznej łączki i gajowy mogą go w każdej chwili wyrzucić z „obcego terenu”. Schroniska turystyczne, nawet rządzone przez PTTK, nie dają żadnej gwarancji noclegu czy nawet posiłków.

Ale to na marginesie. Chciałem zaproponować rzecz inną, bądź wstydliwie ukrywaną, bądź też świadomie nie braną pod uwagę przez organizato-

rów wypoczynku. Mam na myśli szansę wybudowania sobie np. własnego domku kempingowego w atrakcyjnym terenie w pobliżu miasta. Założymy, że dysponuje gotówką potrzebną na zakup samochodu, ale motoryzacja mi nie imponuje. Chciałbym natomiast wybudować sobie „daczę”, ot, chociażby w Cedzynie, gdzie mógłbym miejskim autobusem dojechać na sobotę i niedzielę, na święta, spędzić urlop we własnym domku. Takiej możliwości aktualnie nie ma, nie licząc, rzecz jasna, wykupienia „posiadłości” z całym balastem administracyjnych kłopotów (zakup działki, prawo własności itp.). Czy nie można natomiast spróbować — mogą to, a właściwie powinny umożliwić władze administracyjne — inaczej? Wyobrażam sobie to chociażby tak: w pobliżu budowanego ośrodka wypoczynkowego wydzielę się kilka działek (ideałem byłoby ich uzbrojenie jak np. ogródków działkowych) wydzielając je na określoną ilość lat po przyjętym cenie. Po określeniu zasad zabudowy można udostępnić te działki właśnie chętnym do budowy własnych domków wypoczynkowych, ba, nawet odsprzedawać je na dogodnych zasadach. Kwestia urządzenia wnętrza, ogrzewania, wykorzystania — należałaby do właściciela.

Powie ktoś — zvariowany pomysł. Może tak, a chyba nie. Dysponowanie własnym domkiem w pobliżu miasta jest niemal powszechną zasadą w ZSRR, staje się coraz bardziej popularne w NRD czy Czechosłowacji, jest częste w Bułgarii. Ze możliwością wydzielania, spekulacji? Tego bójmy się najmniej, przywiązanie do własności jest u nas tak silne, że prawdopodobnie właśnie takie domki byłyby przykładem dobrego gospodarowania, racjonalnego wykorzystania.

Zresztą, jest to luźna propozycja, niejako na marginesie szerszego problemu. Jeśli jednak znajdzie się ktoś, kto odpowie, że szansa na takie rozwiązanie moich kłopotów urlopowych jest, skorzystam nie tylko ja. Ręczę, że miałbym wielu sąsiadów.

A. R.
Kielce

Legenda

Jacek Głazewski

Z miasteczka Cassino droga na szczyty masywu wiję się splotami serpentyn, ostre zakręty, porozrzucane głazy, stromizny pokryte zagajnikami akacji. Przy niskim pulapie trzeba przejechać mleczną gęstwą chmur, widoczność ograniczona, rozmazane kontury drzew pojawiają się i znikają. Ponad białą, rozciągającą się po horyzont, pofalowaną płaszczyzną jest tylko szczyt i klasztor, u podnóża klasztoru skręca się w prawo, parking. W ciszy jesiennej poranka zbyt głośno dźwięczą kroki. Asfaltowa aleja wiedzie wprost do bramy cmentarza między dwoma cokołami, na których wznoszą się białe kamienne orły o rozpostartych, odgiętych do tyłu skrzydłach. Cisza, w zaroślach śpiewają ptaki, z klasztoru słychać przytłumiony odległością dźwięk dzwonu. Na płytach półkolistej płaszczyzny, już za bramą, przed kwaterami grobów napis „Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni jej służbie“, pośrodku znicz wkomponowany w rysunek krzyża Virtuti Militari. Sylwetkę klasztoru przesłania pędzony wiatrem obłok, milknie dzwon, to miejsce jest istotnie zawieszane między niebem a ziemią. Po gwarnych ulicach Florencji i Rzymu, które przemierzałem w poprzednich dniach, przeskok jest zbyt duży, od współczesności do legendy. Wojna, która przeszła przez kraje Europy, utworzyła zgrab historię najnowszej, wojna była dla wielu Polaków wygnaniem z kraju i jedyną możliwością honorowego powrotu.

Kiedy nastala cisza, kiedy zaprojektowano i zbudowano ten i wiele innych wojennych cmentarzy, gdy historycy zaczęli wartościować fakty i zdarzenia, przemilczać, naświetlać i interpretować w sposób suchy i obojętny, mieszać z sobą prawdę i fałsz, gdy zaczęto oceniać i nadawać rangę ważności szlakom prowadzącym bezpośrednio do kraju i tym, które na skutek politycznych manewrów zakończyły się na bezdrożach, zapomniano nie-raz o sprawie ważniejszej, że śmierć w walce, zarówno pod tym klasztorem, jak i pod Lenino, pod Studziankami, w po-

wstańczej Warszawie, na polach Francji i Wale Pomorskim miała dla tych, co ginęli, zawsze ten sam wymiar, nigdzie nie była lepsza, nigdzie nie była gor-sza.

Przypadek i ślepy los rzucił jednych do Tockoje, innych do Bressuire, jeszcze innych, którym udało się natrafić na drogę najprostszą i najkrótszą, do Sielec nad Oką. Nie zawsze decydowały o tym przekonania polityczne czy ideologia, dobre było każde miejsce, gdzie pod narodowym godłem dawano mundur, broń i możliwość walki. Możliwość politycznego wyboru pojawiła się dopiero po wojnie. Dla tych na obczyźnie — powrotu lub pozostania, dla tych w kraju — opowiedzenia się po jednej albo po drugiej stronie.

Monte Cassino owiane jest legendą o tych, którzy pozostali na jednej z wojennych dróg; nie wiodła ta droga

bezpośrednio do kraju, ale nie oni o tym decydowali.

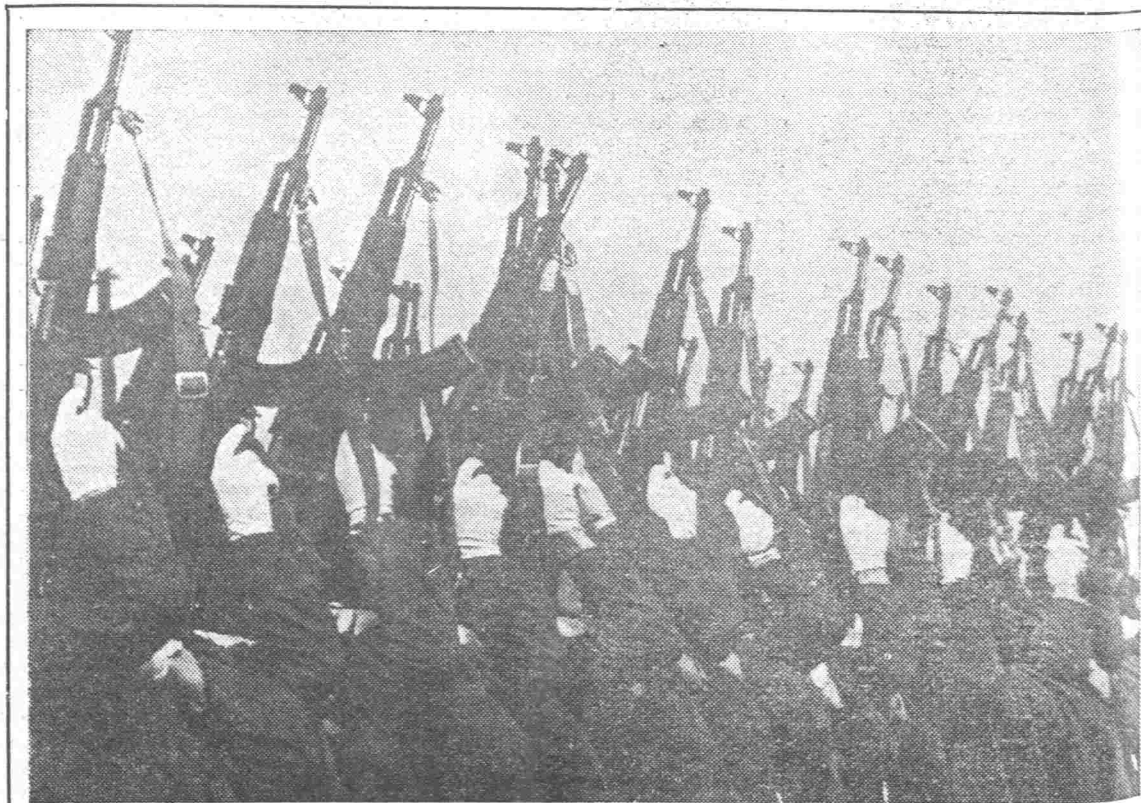
Wydarzenia zamknięte w relacjach historyków pozbawione są żywej tkanki faktów, autentycznych chwil i sytuacji, które giną w oddaleniu jako zbyt drobne, zbyt nieważne, pozornie liczą się tylko daty, uogólnienia, nazwiska wodzów i polityków. Bitwa o Monte Cassino była jedną z wielu bitew ostatniej wojny. Co do jej potrzeby i znaczenia można wieść nadal spory, ale nie są one najważniejsze. W odczuciu tych, którzy tam wtedy byli, przybliżała o krok Polskę, była jednym z ruchów na wielkiej szachownicy skracającym czas wojny. O ile? Tego nikt nie jest w stanie obliczyć. Historyk skwituje ją jednym zdaniem. W żołnierskim notatniku, pośród zapisków prowadzonych bezpośrednio w czasie walk, na stronie z datą 17 maja można odszukać relację o jednej godzinie tamtego czasu.

„...O godzinie 14... Z bunkrów niemieckich poniżej, w połowie ściany skalnej nad przepaścią le-cą niemieckie granaty. Po kompanii idzie równocześnie ogień z klasztoru, ze wzgórza 593, ze wzgórza 569 i z nie zdobytego jeszcze przez 5 KDP Widma. Pada ciężko ranny w szyję strzelec Józef Mikul (1912/29/III), w chwilę po nim inni — strzelec Tomasz Dobrowolski (1914/29/III), który mimo rany nie schodzi z pola walki, rzuca granaty aż do ostatecznego wyczerpania, pada-ją dalej: kpr Stefan Rychliński (1909/8/III), strzel. Eugeniusz Kowalewicz (1926/10/III), strzel. Antoni Moskała (1918/21/III), strzel. Henryk Słebzak (1917/25/III), któremu pocisk urywa nogę, pchor. Wiktor Łyczko (1918/9/III), kpr Kazimierz Garbiak (1915/21/III), strzel. Mikołaj Gizuń (1919/16/III), pchor. Jan Stachura (1917/88/III) oraz kpr Bronisław Charkot (1912/19/III), raniomy śmiertelnie.

W pierwszych liniach piechoty pada również zabity obserwator

artylerię własnej, rtm J. Stojewski-Rybczyński. Następuje moment najbardziej krytyczny. Brakuje amunicji i granatów, potrzebnych w tym właśnie momencie. Irlík organizuje zaopatrzenie i na rozkaz dowódcy natychmiast na tym kierunku, ppłk. Fraslaua, ponawia szturm. Znowu pada ranny ppor. Stanisław Cielewicz (1915/16/III), jednak nie wycofuje się z walki, już na „koncertynie“ niemieckiej padł zabity strzel. Jan Iwaniuk (1911/9/III), a w chwilę po nim ginął strzel. Aleksander Dubowik (1911/23/III) i kpr Ludwik Skomorowski (1916/3/III) oraz ranny strzel. Adam Michalewski (1911/87/III). Pada również zabity dający w pierwszej linii niedobitków swego bacnu i kompania Stasia Irlika — dowódca natychmiast ppłk Fraslau. Zaopatrzenie dostarcza wreszcie tak koniecznych tutaj granatów. Znowu szturm...”

Jesienią maki nie kwitną tutaj, maki są na kolorowych pocztówkach, które w leżącym w dolinie miasteczku można kupić w każdym sklepie z papierosami. Porozkładane na szklanej ladzie trafiki, obok siebie widokówki z klasztorem, cmentarzem polskim, niemieckim, angielskim. W restauracjach i traktierniach obok siebie, nieraz przy tym samym stole siadają ludzie mówiący po angielsku, po polsku, po niemiecku, kupują na tych samych straganach kwiaty, wsiadają do samochodów mających obce dla miejscowych rejestracje i jadą na swoje cmentarze. Ci, którzy przechodzą przez bramę między dwoma kamiennymi orłami, odczytują najpierw nazwiska na rzędach białych krzyży, potem szukają wzrokiem na okolicznych wzgórzach miejsc, gdzie powstawała legenda, a gdy wracają, muszą przekroczyć szerokim półkolem biegnącym po płytach napis „Przechodniu, powiedz Polsce...”



fol. A. Pęczalski

Zazdrość

Na wiatr
wystawię głowę
niech przez nią wieje
na deszcz
wystawię głowę
niech ją gasi
w drzewa w drzewa pójde
rozszumiane
w drzewa w drzewa pójde
ale nic
nic
ci nie powiem...

W korcu maku

W korcu maku
cię szukałam
w stogu siana
jak igłę

ze świecą znalazłam
objęłam widnokregi —

teraz
jestem
pusta.

MARIA EWA PISKAŁA

Elektrowni „Kozienice”

piach i gwar
wysiłkiem puchnąca konstrukcja
pot i krew
złepk ludzkiego trudu i geniuszu
duma i przekleństwo
patrzę
jestem mała jak inni
gigant jest nieskończenie wielki
jak nasza pycha.



foto. J. Buczkowski

gadki ludowe

Dobro rada

Bolesław Wojewódzki

(Opowiadała Stanisława Barbara Jarczyk, lat 45, Nieznamierowice)

Przyšli do ksindza starso kobita, lamyntujom, popłokujom, ze zyc im cienzko, ze chorujom, ze censto chleba łaknóm.

Ksiondz cierpliwie wysłuchali i takóm dajóm radę:

— Wyprowadźcie się daleko od swojej wioski. Weźcie się za znachorstwo. Kiej ziółka poredzicie, wymowiojcie te słowa: — Jak wyzdrowiejecie — dej wóm Boze, jak nie wyzdrowiejecie — weźcie wos, Boze!

Posłuchali kobita ksindza.

Minyło kilkanaście roków. Ksiondz śmiertelnie zachorowali. Co najsławnijse likorze go lecyli. Nie pomagali. Wtedy jedyn gospodarz poredzili znachórkę, co to znano na całom okolicy. Zgodzili się dobrodziej na znachórke, bo zycie beło im mieie.

Przywieźli znachórke na plebanijom. Wchodzóm do pokoju, gdzie chory lezom. Oglóndajóm sie, ozpytujom.

Ksiondz niby głos poznajóm, jino przybocyć se ni mogóm, cyj. Znachórka sykujom odpowiednie ziółeczka i przykazujom ksindzowej gospodyni co i jak. Nakóniec godajóm:

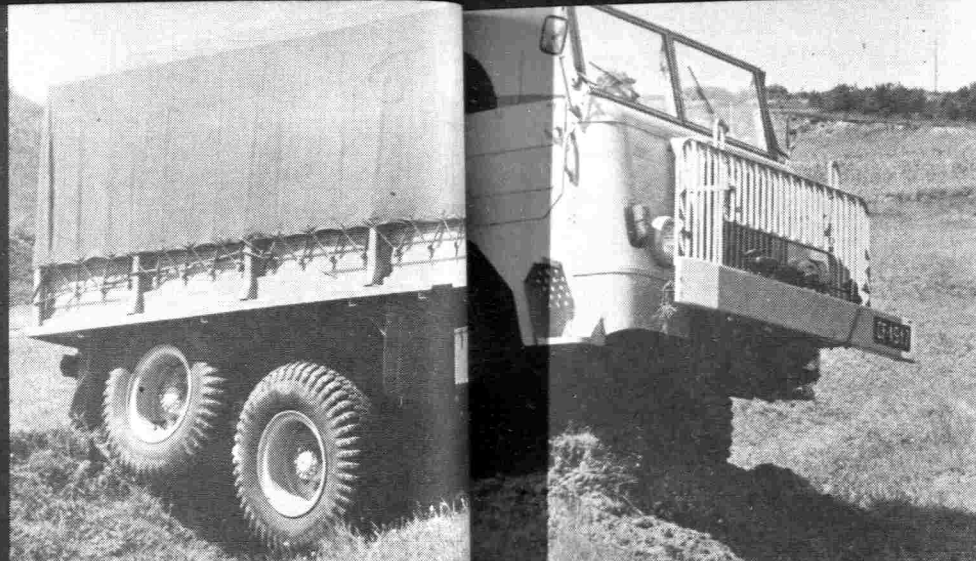
— Jak wyzdrowiejecie — dej wóm Boze, jak nie wyzdrowiejecie — weźcie wos, Boze!

Ksiondz przyboceli se teraz, kto to som, ta znachórka. Jak sie nie oześmiejóm: — Ha, ha, ha!

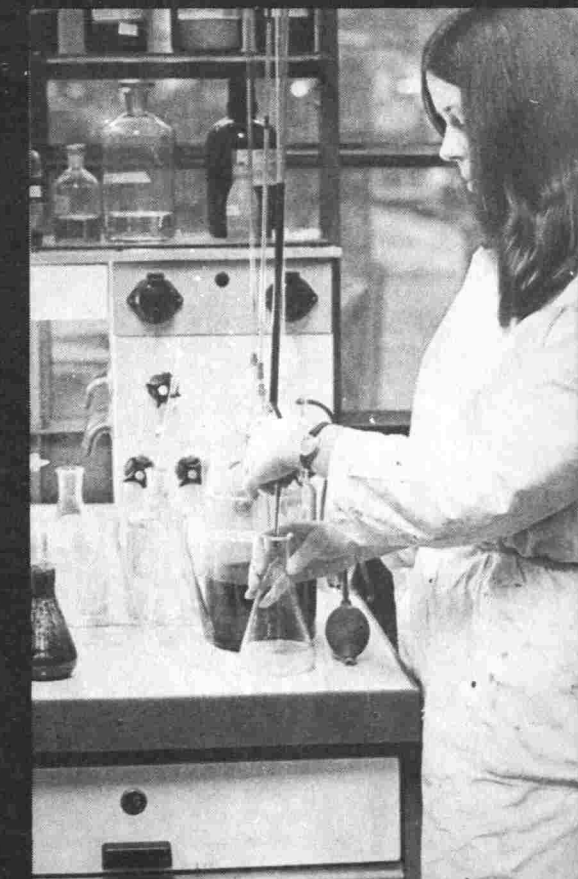
Wtedy wrzód im w gardle pynkł, bo na to chorowali, jaze flegmóm i materyjom poduski i pierzyne popaskudzieli.

Došli ksiondz do siebie i godajóm:

— Ulzeło mi. Jak bym sie narodził. Dobro nasa rada, dobro wasa rada, znachórko, co?! I przykozali gospodyni sielnom uctę wyprawić.



„STRY“



Nowej rodzinie samochodów nadano imię „star 200”. Chodem przejściowym został Nim właśnie w 1970 roku wyjechała z Warszawy do Singapuru w miejsce przeznaczenia zachowanie się samochodu w warunkach klimatycznych. W późniejszej „stare 29” wyruszyła ekipa klubu wysokogórskiego na wysokość 4726 metrów. Najbardziej przyjemne wiadomości

(2/k) (bp)



rys. H. Papierniak

z raptularza

Lekarz i poeta ⁽¹⁾

Świętosław Krawczyński

Liczne i owocne były koligacje Krakowa z Kielcami. Chociaż obecnie również ich nie brak, głosowałbym za ich pomnożeniem, zwłaszcza w zakresie nauki i kultury. Oczywiście, tradycje te nie wpłynęły na zawarcie związku małżeńskiego pomiędzy dr. Zdzisławem Gajdą, krakowianinem, i Barbarą Goździówną, kielczanką, ale później ten młody ortodonta, miłośnik staroci i historyk medycyny stał się ich świadomym kontynuatorem. Zaczęło się bodaj od poszukiwań św. Apolonii, patronki stomatologów, którą dawni malarze przedstawiali z narzędziem do ekstrakcji zębów w ręku (można sprawdzić na Świętym Krzyżu). Dla dziejopisów bowiem te szczytce, cęgi, kleszcze — czy jak się je prawidłowo nazywa — świadczą o instrumentarium lekarskim w epoce powstania wizerunku. Potem dołączyły się wyprawy zwiadowcze dla ustalenia pozostałości po niedysiejszych szpitalach, których przecież niemało w miastach i większych wsiach Kielecczyzny. Wreszcie, gdy dr Gajda przystąpił do pracy nad historią nauki i sztuki medycyny w czasach Rzeczypospolitej Krakowskiej, szczególne jego zainteresowanie wzbudziły wykładowcy i wychowankowie Wydziału Lekarskiego UJ, związani z naszym regionem albo pochodzeniem, albo praktyką zawodową. A jest ich niemało. Pamiętajmy, że w ciągu całego tego okresu Kielce były siedzibą władz województwa krakowskiego, a Kielecczyzna należała do niego w przeważnej swej części. (Drukowane w Kielcach odezwy powstańcze z 1831 roku, wzywające do boju przeciwko ciemności, zaczynały się od apostrofy: — Krakow-

wiacy!). Toteż absolwenci Szkoły Wojewódzkiej w grodzie Gedeona garnęli się na studia do Wszechnicy Jagiellońskiej. Zaliczał się do nich Napoleon Medyński, rodem ze Słupi w Stopnickiem. Postać to barwna i charakterystyczna, więc skupiła na sobie uwagę dr. Gajdy, gdy natrafił na informacje o niej w zbiorach rękopisów Biblioteki UJ. Spuścizna po Medyńskim jest tam dość pokązna, jak na zapomnianego obecnie pracownika naukowego sprzed stu kilkudziesięciu lat. A że pośród opracowań medycznych znajdują się wiersze, zaproszony zostałem do Krakowa, aby się z nimi zapoznać.

Jeśli mnie nie zawodzi słuch polonistyczny Napoleona Medyńskiego należałoby zakwalifikować do grona epigonów Mickiewicza. On sam zresztą tego nie tai, owszem, wyraża podziw dla mistrza z emfazą obecnie już przyblakłą, lecz niegdyś bardzo żywą. Na dowód przytoczę końcową strofę z wiersza, który powstał w Kielcach w roku 1827:

*„Lecz wzrok strzelisty w sercu
przyjaciela
Roznieca płomień lubego oblicza,
A dusza co dzień bardziej się
ośmiela
Pieścić i poić tchnieniem
Mickiewicza“.*

Wcale to zréczne. Pamiętajmy, że pisał to abiturient Szkoły Wojewódzkiej w mieście zaledwie trzy- lub czterotysięcznym. Ciekaw jestem, czy w roku 2120 mieszkańcy Kielc w podobnie aprobujący sposób

odbiorą wiersze współczesnych dwudziestolatków. W każdym bądź razie rozbiór gramatyczny ich twórczości nastreczy o wiele więcej kłopotu przyszłym językoznawcom, aniżeli nam młodzieńcze płody Medyńskiego.

Z kolei podam wyjątek ze „Spowiedzi Harolda do przyjaciół”, poprzedzony mottem z pomnika Szekspira w Westminster Abbey

*„...We are such stuff
As dreams are made on, and our
life*

Is rounded with a sleep“,
które tak przestronowano na język polski:

*„...W jestestwo nasze takie wchodzą
częstki,
z jakich sny są złożone,
i krótkie życie nasze snem się
zaokrągla“.*

(Jeśli Medyński sam to tłumaczył, dobrze to świadczy o poziomie nauczania języka angielskiego w kieleckiej Szkole Wojewódzkiej).

A oto wyjątek z tego poematu:

*„Zaledwie wyszedł z powicia,
Calegóm zapragnął życia.
Świat był dla mnie tak mały,
żem go myśli strzalał
Postrzelił z końca do końca.
Czując wielkość młodości, rączyna
zuchwałą*

Zasięgałem aż do słońca“.

Wyraźne echa „Ody do młodości“: „Dzieckiem w kolebce kto leb urwał hydrze...“. Zarówno idee, jak słownictwo Medyńskiego w tym poemacie zapożyczone od Mickiewicza. Młodość ówczesna umysłem sercem chłonęła wszystko, co wychodziło spod pióra wileńskiego twórcy. I przetwarzała natychmiast, dostosowując do własnych potrzeb duchowych.

Sonety krymskie“ ukazały się drukiem w roku 1826, a Medyński już w roku następnym pisze sonety o kilku miejscowościach Kielecczyzny. Aby unaooczyć Czytelnikom ich zależność od Mickiewicza przytoczę jeden z nich, o jakże regionalnym tytule: „Trupieniec w nocy“ i podtytuł: „Mieszkaniec do podróznego“. Jest to zatem wysnuta z fantazji wierszopisa przestroga z jaką człowiek tutejszy zwraca się do przybysza. Założenie sytuacyjne takie, jak „Czatyrdahu“ albo w „Drodze nad przepaścią w Czufut-Kale“, sceneria zaś z „Ballad i romansów“. Zapoznajcie się więc Państwo z tym „Trupieńcem“, w którym uwspółcześniłem interpunkcję:

*„Tu razem dwa księżycy z brylantów
krainy
Świecą nad naszą głową i blyszczą pod
nami.
Migotnemi dokoła otoczon gwiazdami,
Sądzisz, że już zbawienia nadeszły
godziny“.*

Westchnij, zanim postąpisz!

— w bezdenne głębiny
Spełnie się spod nogi otchłań pod
stopami.

Jak kropla zawieszona nad morza
wodami,
Oderwiesz się i wpadasz w wodniste
doliny.

Mgła zieje paszcz śmiertelną, aż
powstają włosy,
Chmura duchów piekielnych podnosi
się śmieie,
A nad głową przelata piorunowy
wieniec.

Słyszysz w lesie ostatnie skłamania
odgłosy —
Chcesz umierać? — Za wcześnie! postąp
jeszcze śmieiej!
Tu jest staw Czarneckiego — patrzaj:
to Trupieniec!"

Zastanawiam się, czy w wierszu tym nie
chodzi o stawy na Białogonie?... Urządzono
je ponoć za czasów staszczowskich. Bylbym
wdzięczny temu, kto by mi to kompetentnie
wyjaśnił, gdyż odczuwam wątpliwości.

Medyński, jeszcze jako uczeń Szkoły Wo-
jewódzkiej, bo w roku 1826, próbował u-
brać w szatę dramatyczną starodawne o-
brzędy sobótkowe, niewątpliwie pod wpły-
wem budzącego się u nas romantyzmu. O-

stało się niewiele z tych prób. Uważam, że
warto zacytować cały „wyimek z Sobótki”,
jaki znajduje się wśród rękopisów UJ:

MIKA

Na cześć bogów i bogiń
Dzisiaj rozpalimy ogień — (tak,
właśnie: „ogień”!)

Wy modrzew w lesie zetnijcie,
Wy wieńce z kwiatów uwijcie,
A wy weźcie suche kije,
Trzyjcie aż ogień ożyje,
Wy znoście polne łuczywo,
Tylko śpiesznie, tylko żywo.

ARCYPASTERZ

Tak, tak będzie, miły panie,
Jak wyrzekłeś, tak się stanie.

MIKA

Ty idź, ty idź na te góry,
Zamów, zaklnij zewsząd chmury,
Upatruj na niebie znaku
Jaskrawego gwiazdy szlaku,
A śpiesz no się, śpiesz no się,
Biegnij żywo po rosie.

WSZYSCY

Na cześć bogów i bogiń
Dzisiaj zapalimy ogień.

WIESZCZ

Jak się słońce schowa w wody,
Rozejdźcie się do gospody,
I przyprowadźcie dziewicę,
A patrzcie na czarownicę,
Aby która po kryjomu
Nie wemknęła się do domu.

PASTERZE

Jak się słońce schowa w wody,
Zajedźwiewa do gospody,
Przyprowadźwiewa dziewicę,
Odziniewa czarownicę,
Aby która po kryjomu
Nie wemknęła się do domu.

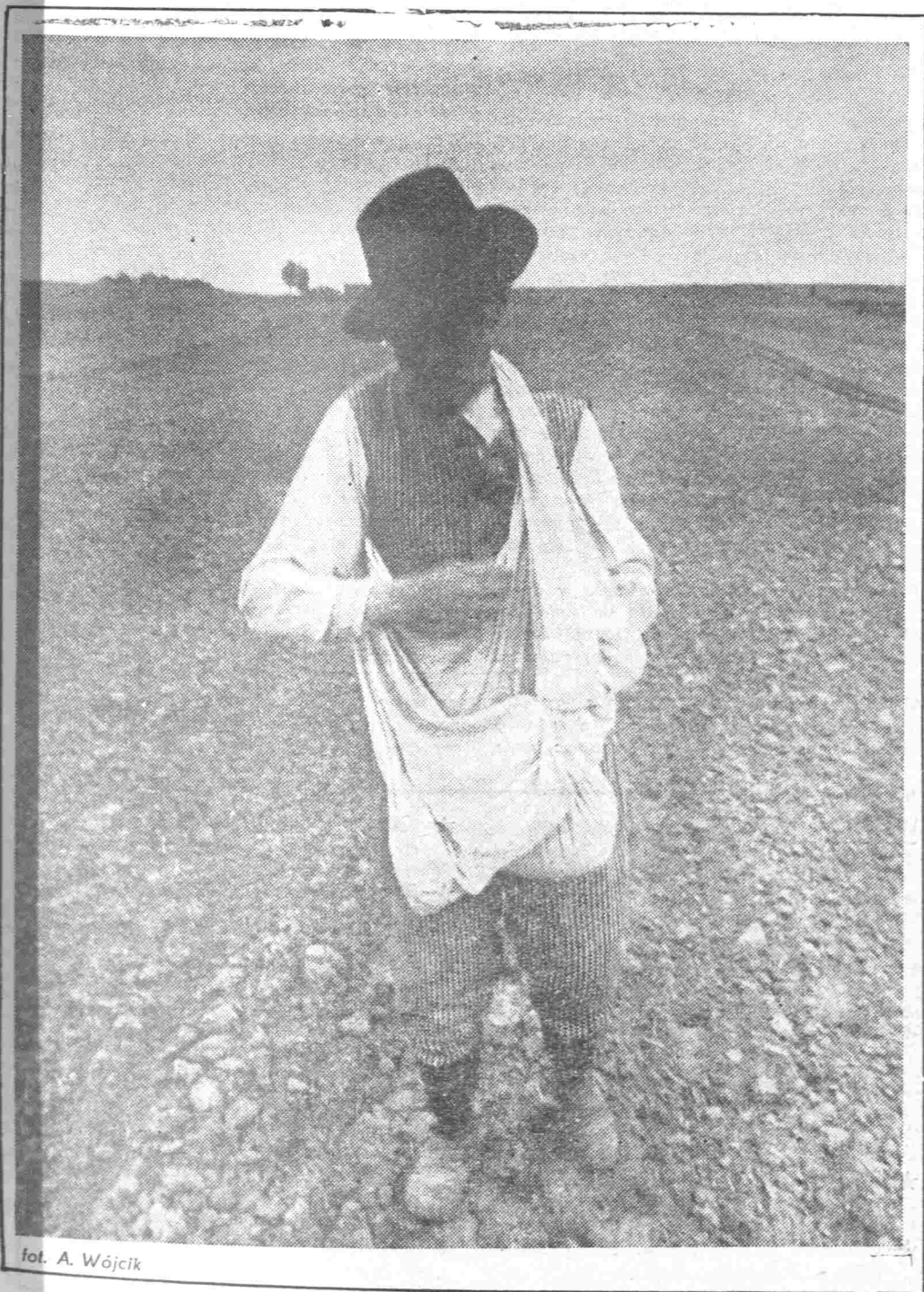
MIKA

Zielniki, zbierajcie kwiaty,
Róże, maki i bławaty,
Macierzanki, rozchodniki,
Ślasy, rosiczki, krwawniki,
Pokrzywy, osty, łobody,
W co obfitują ogrody.

ZIELNIKI

Wszystko będzie, miły panie,
Jak wyrzekłeś, tak się stanie.

Forma przejęta z II części „Dziadów”!
Ale nasycona wcale nie podrabianą ludo-
wością, o czym świadczy chociażby mazu-
rzące użycie liczby podwójnej: — „zaje-
dziewa”, „odziniewa”. Dotychczas w Kie-
lecczyźnie „żynie” się bydło na pastwisko.



fol. A. Wójcik

co ludzkie — nie obce ...

Borynowy dłużnik

Stanisław Mijas

1 lipca 1892 roku dozorca plantowy w Wolbórze uczynił w swym notatniku bilans aktualnych potrzeb i długów przed planowanym wyjazdem do Warszawy. I tak po stronie „sprawić różne rzeczy konieczne potrzeba” wyszczególniono: „koszul 12, gaci 12 (w pierwszej wersji 6), skarpet 12, chustek 12, kołnierzy 12, mankietów 6, koldre, poszew, łóżko, lampa, stół, jaki, kuchenne graty, palto zimowe, marynarkowe ciepłe, ze dwie pary spodni, buty i kamasze. Razem potrzeba 160 rubli”.

Na liście długów w tym samym bilansie figuruje 16 osób, przeważnie miejscowych chłopów, a wśród nich Boryna, któremu Reymont winien był 3 ruble. Prawdopodobnie nie doczekał się on nigdy zwrotu tej pożyczki, jeśli nie liczyć rekompensaty w postaci nazwiska grającego w „Chłopach” fundamentalną rolę.

Przedziwnie pokretna jest młodzieńcza biografia przyszłego laureata nagrody Nobla. Sam wypowiadał się na ten temat w późniejszych czasach dosyć niechętnie, chętnie za to kolo-
ryzował swe przygody. Posłuchajmy autoopowiesci. „Potem przyszły lata włóczęgi, przega-

niania ze szkoły do szkoły, bo nigdzie nie mogłem wytrwać. Oddawano mnie do rzemiosła – nie wytrwałem, i do handlu – uciekłem, i znowu do szkoły – nie wytrzymałem. 6 lat jakieś przeszły; skończyło się na tym, że policję warszawską wyrzucili mnie z Warszawy i drogą administracyjną skierowali na rok siedzenia do rodziców. Miałem wtedy lat 18. Rodzice już mieszkali gdzie indziej. Kupili młyn z paru włókami ziemi przy samej drodze warszawsko-wiedeńskiej, między stacjami Baby a Rokięciny. Mieli się już znacznie lepiej. Kilka siostr było zamężnych. Brat starszy, że go wygnali z kijowskiego uniwersytetu, został aptekarzem. A ja byłem żywą raną rodziny: plakano, że jestem zmarnowany i zgubiony. Istotnie, sam nie wiedziałem, co robić z sobą. Pisywałem wciąż wiersze: nie posyłałem ich nigdzie, wstydzilem się, bałem, aby nie powiedzieli: do kosza. Czulem, że zabilbym się, gdyby mi tak odpisano. Miałem w tym czasie wszystko i nie miałem nic, rwałem się do wszystkiego i brzydziło mi wszystko. A to przymusowe siedzenie na wsi, pod czujną, srogą i okrutną kontrolą ojca, zabijało mnie. Włóczyłem się tygodnie całe po polach, lasach i wodach. Uciekłem z domu do Warszawy. Złapano mnie i odstawiono z powrotem. Byłem wprost nieszczęśliwy. Chciałem wtedy wstąpić do seminarium. Ojciec nie chciał, nie dał pieniędzy, zaganiał do roboty, tyranizował.

Wiele jeszcze zmieniłem miejsc, zawodów, aż w końcu po raz trzeci powróciłem do służby kolejowej, ostatniej. Ponieważ wciąż opuszczałem miejsce, dali mi posadę praktyka kolejowego z placą najniższą i ulokowano na wsi pod Skierniewicami. Tam przesiedziałem dwa lata przeszło. Nie będę opisywał, com przeżył. Szkicuję tylko kontury zaledwie. Dość, że poczułem, że pomimo szamotań i usiłowań, znalazłem się na samym dnie życia. Wiersze pisać przestałem i poznałem, że Słowackiego nigdy nie prześcignę. Wziąłem się do prozy i rezultatem był tom „Spotkania”. Tam są moje pierwsze rzeczy pisane na wsi, gdzie mieszkiał tak długo z chłopami w jednym domku. Miałem się tam ożenić z córką mojego gospodarza i stałe pozostać. Zresztą nie wiedziałem wcale, czy mam jaki talent”.

Wiersze, nie ma co ukrywać, były rzeczywiście liche. Za to ambicja młodzieńca niedouczonego, lecz wyrastającego ponad własne środowisko, ogromna. Dyplomowany czeladnik kra- wiecki mówi ironicznie:

Mnie, co ma dusza klasyczna w polowie? I
Mnie być w terminie, mnie krawiectwa
w głowie,
I oni by mnie krawczykiem może nazwać
chcieli,
Mnie – czy ci ludzie znów nie zidioceli?

Na razie niedosły organista i ksiądz roz-
wiązywał... logogryfy w warszawskich ga-
zetach. Przeczytawszy anons o pewnym
człowieku naśladowującym Wilhelma Tella, zgło-
sił się jako... żywy cel. Gdy odrzucono tę ofer-
tę, młody poeta zaciągnął się do wędrownej
trupy aktorskiej. „Wierz mi – pisze z głębokiej
provincji do siostry – że teatr nie jest takim
złem, jak go przedstawiają, a ma to dobre, że
uczy żyć oszczędnie; trochę za oszczędnie, ale
coś robić. Do Ojca pisałem dwa listy, na które
Ojciec uznał za stosowne nie odpowiadać;
wcale nic dziwnego: aktorem włóczęgą ma się
zajmować? Okoliczności czy jakieś fatum mnie
ściga za dawne błędy: jestem chory prawie od
miesiąca, ale nie tak, żebym potrzebował leżeć
lub leczyć się radykalnie, ale czuję chorobę
w sobie i nieomal z przestachem myślę o tym,
jakkby naprawdę zachorował. A tu bieda
w całym znaczeniu tego słowa – do tego stop-
nia, że, wyjeżdżając z Ozorkowa, musiałem za-
stawić za 6 rubli długą za mieszkanie i życie
wszystkie rzeczy, poczynawszy od spodni, co mia-
łem od Franusia, skończywszy na bieliźnie. Jed-
nym słowem, zostałem na czysto bez niczego
i bez nadziei, że będę mógł mieć podobną su-
mę. A wierz mi, przysięgam na wszystko, co
jest mi drogim, że ta prośba nikczemnika o
wsparcie będzie ostatnią. Przekonam Was, że
i tacy podli jak ja mogą być ludźmi. Czas po-
każe, że ten, na którego wspomnienie rumie-

niec wstydu oblewa twarz Twoją, musi się stać
tym, że nawet przy wspomnieniu jego niegodzi-
wości będziesz mogła śmiało powiedzieć: to
mój brat”.

Gdy podczas jednego z przedstawień Rey-
mont (występował pod zmienionym nazwiskiem),
zamiast opuścić scenę wszedł do... szafy (był
krótkowidzem), został po prostu przepędzony.
Bez spodni, ale bogatszy o nowe doświadcze-
nia, które będą dla przyszłego pisarza wprost
nieocenione.



Po powrocie na kolej wdał się w romans
z młodzieńką żoną naczelnika stacji. W zacho-
wanym w rękopisie pamiętniku z tamtych lat
czytamy: „Data pierwszego pocałunku. 20.I.1892.
Piszę 25, bo pierwsze nie chciało mi się, po
drugie nie chciało mi się, po trzecie też sa-
mo. Zresztą byłem w Warszawie, wydałem kil-
ka rubli, zjadłem niezły obiad, kilka pączków
– zobaczyłem masę głupców – nie czulem się
odosobnionym – i marzyłem chwilę o sybaryc-
kim życiu... To trzy lata już (pisane w roku
1889), jak ona pozwoliła mi się całować, cał-
ować, całować... Używałem tego ogromnie –
zdaje mi się, że ją kocham ciągle... Może dla-
tego tak wspominam, że więcej mi zmysły pod-
niecała, że nie będąc piękną była ponętną
i że mnie kochała, i chodziła elegancko – była
zalatna i żona cudza. Ale to nie mój typ –
mówiąc po sienkiewiczowsku. Każda kobieta mo-
że mi się podobać, jeśli ją pragnąłbym mieć.”
Przyszedłem do niej przez pola – rowem –
aby mnie nie widziano, przyszedłem wiedząc,
że on nie będzie.

Powiedziała na wstępie, że chciała w duszy,
abym przyszedł, i że spodziewała się mnie. Za-
cząłem ją całować – a raczej zaczęliśmy się
całować i ścisnąć. Jeszcze dziś ogień czuję na
wspomnienie”.

Słowa afektowane przeplatają się z wypowie-
dziami sceptycznymi w rodzaju: „Byłem tylko
dla niej przyjemnością – jak brała po mnie

innych, także dla przyjemności. Ale to nie pani
Bovary – o nie! Szczęścia nie dała mi długie-
go, ale dała – więc ją błogosławie, choć z da-
ła”. Historia skończyła się fatalnie, bowiem po-
rywczy kochanek zadenuncjował naczelnika za
jakieś machlojki. Żałował tego później, gdyż
zdawał sobie sprawę, że skrzywdził również
ukochaną kobietę. Zrozpaczony próbował się
zastrzelić 26 maja. Kulę wyjęto, ale uraz po-
został.

Miał 23 lata, był kawalerem, umiał tańczyć
(co potwierdza zapis w dokumentach loży
masońskiej), chciał się uczyć, pisywał no-
wele. Leżąc obok torów kolejowych precyzował
swoją sytuację, kreślił plany na przyszłość. „31
marca 1892. Chory jestem, zdenerwowany samo-
nością i nudą, i pracą wstrętą, bo nudną
i obowiązkową. Gnębi mnie i to, że słuchać
muszę głupca kretyna, chorego na wątrobę
i władzę. Głupcy, mający jaką taką władzę, to
najgorszy gatunek tyranów... A jednak człowiek
umrze. Lat 10 – może 20 jeszcze się popłaczę
po świecie, pocierpi, pocierpi – napatrzy na
nędzę ludzką i biedotę ludzką, i podłość ludz-
ką – i skończyć musi, nie wiedząc nawet, po
co zaczynał życie... Stworzyć sobie jaki bądź
cel – może znośniejsze będzie życie. Mam ja-
ki taki talent – wiem, ale nie pracuję, nie chce
mi się cokolwiek serio zająć. Podłe po tysiąc
razy lenistwo.

9 kwietnia 1892. U, zimno, całe szczęście, że
przecież niedługo potrw. Nic nie piszę. Wsta-
ję o piątą rano – idę spać o jakiej dziesią-
tej, a dzień przechodzi jakoś: na skarpie, w
rowie, pod domkiem – to śpiąc, to marząc, to
tylko wygrzewając się w słońcu i patrząc znu-
dzenie. Ach, nuda, nuda... Mam nadzieję, że
przecież się to skończy kiedyś – nie nuda, ale
takie marnowanie czasu”.

W maju nieoczekiwana atrakcja: „15 byłem
w Piotrkowie – powinszować jednej Zosi: gru-
bej, czerwonej, zdrowej i głupiej – normalnie”.
W czerwcu dłuższy pobyt w szpitalu oraz re-
fleksja: „Choroba łapie tych, którzy są jej po-
mocni. Głęboko wierzę, że przyczyniłem się do
swojego zapalenia kiszek nieregularnym ży-
ciem, a raczej nędznym życiem. Boć nie jeść
przez całe tygodnie nic nad chleb z masłem lub
bez i herbatę, a czasem wędlinę – to naj-
zdrowszego położyć może. Chlipnąć czasami raz
na miesiąc lub dwa łyżkę gorącej stawy – nie
znaczy nic dla zburzonego trawienia. Podła
egzystencja – za 21 rubli na miesiąc – upo-
korzenia, brudu i głodu. Podła. Ach, muszę tę
całą kolej puścić w trąbę. Być wiecznie uwią-
zanym jak pies na łańcuchu obowiązków – i
nie móc zerwać się, zrzucić obroży – to jest
arcynieprzyjemne. Już teraz, w 25 roku życia,
robię się cięższym, czuję się ogromnie zmęczony
życiem, zniechęcony walką. Umarłbym – tak
mi się zdaje przynajmniej. Bo ja nie mam
szczęścia i choćbym miał talent – nie zwycię-
zę, zostanę w cieniu tłumów bezimiennych i
szarych. Widocznie na tom jest, aby się zawodzić
na wszystkim. W głębi jest mi to dość obojęt-
ne, czy imię moje szerzej będzie znane lub nie,
czy nawet w dziełach żyć będą przez ciąg ja-

WIESŁAW TRZASKALSKI

Podpatrzone

- ★ Zawsze ktoś musi czuwać, żeby
innym nie pozwolić zasnąć.
- ★ Grubym rybom nieźle służą stru-
mienię ludzkiego potu.

- ★ Czasami dopóty pożądamy praw-
dy, dopóki nie ujrzymy jej nagiej.
- ★ Pisarz nie musi być poczytalny.
Powinien być poczytny.
- ★ Zawsze trzeba iść za tym prze-
wodnikiem, którego ma się na
karku.
- ★ Cywilizacja – to stwarzanie za-
potrzebowania na rzeczy zupełnie
niepotrzebne.
- ★ Zamiast narzekać na niedosko-
nałość świata, sami spróbujcie
stworzyć coś z chaosu.
- ★ Najwięcej gorących uczuć stygnie
w ogniskach domowych.

kich trzech istnień ludzkich — przez jakieś lato. Pisać mimo wszystko będę — muszę niejako, ulegam czemuś, co jest we mnie wszystkim”.

8 grudnia 1893 dozorca plantowy wyładował w Warszawie. Bagaż był raczej lekki, gdyż obejmował rękopisy, trochę bieżny zawinięty w gazetę oraz maszynkę do robienia papierosów. W portfelu było 3,5 rubla, zaś z garderoby „ubranie jedno, ale za to podłe, palto grube zimowe, lecz że służyło często za koldrę i ochronę od deszczu, tęczywało. Buty były kiepskie, piły wodę niby smoki”. Teczka z rękopisami zawierała „cztery gotowe dramaty wierszem, 7 nowel pięknie przepisanych, wstęp do powieści na 570 stron, 5 broszur rewolucyjnych, kilkanaście wycinków korespondencji do jedynego radykalnego piśmka i kilka listów od redakcji, z których jeden chwalił rękopisy, ale zadził autorowi zajmować się czymś innym, zaś drugi dosyć niewybrednie ocenił autora poematu do muzyki Szopena: „Jesteś pan zuchwały idiota. Jaka szkoda, że nie ma kary na podobne zuchwałości. Za takie rymy powinni pana nakarmić tłuczonym szkłem i wsadzić do kryminału”.

Mieszkając w jednym pokoju z murarzem, krawcem i szewcem próbuje agitować współlokatorów za socjalizmem, lecz nie znalazł posłuchu. Uciekał zatem coraz częściej do katedry św. Jana, zaszywał się w jakimś zakamarku i tworzył z zapalem, wzbudzając podziw kościelnych babek zachwyconych „pobożnością” młodego człowieka. Bardzo trudno było wdrzeć się do literatury. Można to było zrobić jedynie za cenę nagięcia się do życzeń redaktorów gazet. Nic dziwnego, że młody autor zlorzeczył im: „Kastruję mi duszę. Żeby was psy gryzły, psiekrewi”. Nawet garson w słynnej kawiarni Lourse’a, spojrzawszy na nędzny ubiór literata, wyprosił go z lokalu. Od tej pory Reymont przywiązywał do stroju bardzo dużą uwagę.

Skwapliwie skorzystał z okazji, by odbyć tanią wycieczkę do Paryża i Londynu. Z jakąż czułością wspomina tam przeklinane niedawno lata pracy na kolei... „Mnie tylko było dobrze czasami w Krosnowle, kiedy nie trzeba było iść na linię, tytuł był i była pewna miska kartofli u gospodarzy, a siedząc w swojej norze brudnej i ciemnej snuło się złotą przędzę marzeń i tworzyło się światy nowe ludzi dobrych, choć papierowych. Teraz wiem, że mi już nigdzie dobrze nie będzie, nigdzie i nigdy. Może będę sławnym, może będę bogatym, ale zadowolonym z życia, to czuję, że nigdy nie będę!”.

W dwa lata później Reymont powrócił do rodzinnej Wolbórki, by zrealizować swoje plany literackie. Tu powstały pierwsze karty powieści „Fermenty”. „Zapadłem na wsi — pisze w liście do przyjaciela — niby borsuk w norze. Jakiś tydzień nie robiłem nic, spałem, kąpałem się, lazałem po polach, jeździłem łodzią i myślałem z trwogą o powieści; trwogę powiększało jeszcze to, że wszystkie moje siostry z wszystkimi możliwymi dziećmi literalnie zalały dom. Otóż zrobiła się bardzo miła oaza, przepelniona skrzykiem, bekiem, kwikiem, płaczem i rykiem tych potępieńców nazywających się moimi siostrzeńcami i siostrzanami! A jest tego tyle, że można by przeludnić nimi jaką nową część świata”.

Zapamiętanie w pracy literackiej kazało odsunąć na plan dalszy wszystkie inne sprawy z planami matrymonialnymi włącznie. „Zacząłem dopiero żyć naprawdę. Zdaje mi się, że się nie ożenię z panną H. Jest tylko jedna przyczyna — nie chcę. Za wcześnie dla mnie małżeństwo. Mam 29 lat i stoję na progu sławy i powodzenia i potrzeba wyżyć wszystkie siły, aby stanąć niewzruszenie w literaturze, aby zająć w niej miejsce takie, jakie chcę zająć, tj. pierwszorzędne. Otóż żona nieco przeszkodziłaby, krępowałaby mnie w lotach i w rozmachu samym, byłaby kulą, a kule zwalniają chód”. W kilka dni później wyznawca starokawalerstwa zaręczył się z Aurelią Szablowską...

Towarzyski, dowcipny, koleżeński i elegancki, stał się Reymont wkrótce ulubieńcem salonów. Dał się również poznać jako zdolny literat. Niepokoił się jedynie stanem zdrowia: „Ja bo głupio jestem zdenerwowany i po-

złudnie chory i to chory na wszystkie choroby i niektóre inne”. Zaś do Ferdynanda Hoesicka: „Wolej by zostać celnikiem albo kmieciowym parobem niżli powieściopisarzem. Niech to diabli wezmą!”. Bo wraz ze sławą pojawiła się zawiść. Ci sami towarzysze zabaw i uciech „darrowaliby zbrodnie, ale nie darują talentu i powodzenia. Żeby wszystkich przyciszyć, zadowolić, uspokoić i nastawić życzliwie — trzeba by umrzeć. Zobaczyćaby Pani, jak by mnie kochali i żalowali i robili to zupełnie szczerze, bo już bym nikomu nie przeszkadzał”.

Lata następne obfitują w podróże oraz... sercowe wiraże. „9 lipca 1895. Jutro pojadę do panny I. Czy z nią lub czy ogólnie ja się ożenię? Chciałbym, a boję się... Nie wiem, czy za lat 20 przeglądając ten notatnik będę czymś już, nie wiem. Szczęśliwym będę, czy nie. Wiem tylko, że będę miał 48, że będę już starym, że już będę po drugiej stronie życiowego wieku. Co będzie? Co?”

Wycieczka na Łotwę miała być odprężeniem, miała go zbliżyć z ukochaną — a stała się udręką. W liście do Lorentowicza: „Siedzę jeszcze w Assernie, kąpię się w morzu i wysługuję się swojej pani słodkiej w prawdziwie biblijny sposób — bo pomyślcie: jest mama i 4 jej przyjaciółki. Mam kobiet wyżej uszów. Kobiety z przodu i z tyłu, i z każdego boku. Nie jestem jak sultan w haremie, ale jak eunuch

wał nad nią do roku 1909, sam opis wesela Jagusi i Boryny doprowadził go do stanu krańcowego wyczerpania. Na pytanie doktora — co pan najlepszego w życiu zrobił — padła odpowiedź: „Tańczyłem. Trzy dni tańczyłem na chłopskim weselu”.

Po 11 latach narzeczeństwa odbył się wreszcie ślub, w którym uczestniczyli tacy goście jak Stanisław Wyspiański, Kazimierz Tetmajer i Lucjan Rydel.

Miał wszystko: rozgłos, sławę, pieniądze, szczęście rodzinne, własny dom. Ale wszystko to przyszło za późno, w przeddzień śmierci. Wtedy też spadła nagła, choć wyczekiwana latami wiadomość o nagrodzie Nobla. „O śmierci myślałem w owych dniach i to rozmyślałem systematycznie przygotowując się do niej, aby mnie nie chwyciła bezbronna. Więc na razie owa wiadomość o nagrodzie zdała mi się być przykrymi drwińkami jakichś złośliwych nieprzyjaciół. Przecież mogłem i powinienem być zrobić pięćdziesiąt razy więcej niż zrobiłem, gdybym miał jakąś pomoc. I oto teraz muszę przyjmować nagrody za co? Za dzieło, które zaledwie jest zarysem tego, co zrobić chciałem, a nie mogłem, bo byłem w nędzy, bo musiałem pisać z felietonu na felieton. Naraz otwierają się wielkie drzwi rozgłosu! Nieznany wczoraj i lekceważony nawet przez rodaków, dzisiaj muszę brać pozę i twarz sławnego człowieka.



fol. A. Wójcik

skazany na doglądanie doletnich dziewcz i starożytnych mężatek. 6 kobiet, a ja sam jeden! Wyobraźcie sobie, że te omszałe dziewczęta, te cnoty niewzruszone, te samoołtarne z musu kapłanki czystości mają 8 koszów podróżnych, 12 waliz podręcznych, 6 pudeł drewnianych na kapelusze, 4 mopsów, jednego doga, masę torebek, tysiące flaszeczek z podręcznymi środkami leczniczymi i 300 lat razem. I starają się przekonać moją dziewczynę, że nigdy kobiety nie były szczęśliwe z takimi mężami. Gdybym chciał wszystko opisać, co mi te jędze robią i jak dokuczają, jak kontrolują — to musiałbym napisać tom i dać temu tytuł: Z wywczasów nadmorskich tragiczna humoreska. Gdyby nie ona, już dawno byłbym wszystkie baby zwy-myślał i wyjechał, ale muszę jeszcze czekać...”

Pobyty w Paryżu upłynął głównie na pisanie „Chłopów” i borykaniu się z kłopotami finansowymi. Latami całymi ciągnęła się sprawa unieważnienia niefortunnego małżeństwa narzeczonej, Aurelii Szablowskiej. Wszelkie plany pokrzyżowała katastrofa kolejowa, której ofiarą stał się Reymont na wiele lat. Jedyną pociechą było dosyć wysokie odszkodowanie — 38.500 rubli. Można było wyjechać z narzeczoną na kurację do Włoch i dopilnować spraw rozwodowych. Trudniej było w takich warunkach kończyć powieść życia. Praco-

Czy to nie warte śmiechu? Stałem się od razu dumą swojego narodu. Rodacy gotowi jeszcze czytać moje książki! Jakże naraz stałem się interesującym, wielkim i kochanym”.

N po odbiór nagrody, zerwał się z łóżka po raz ostatni na wielką uroczystość, miał siły, by pojechać do Sztokholmu którą mu działacze ludowi zorganizowali w Wierchostawcach. Były przemówienia, hołdy, uznanie dla geniusza. Poszło wtedy — jak oświadczają współcześni — kilkaset beczek piwa i... ani jeden egzemplarz „Chłopów”.

Z listu do znajomej: „Czy wie pani, jak chciałbym zakończyć swe życie?... Chciałbym, aby ciało moje zostało spalone, a prochy w jakieś skwarne czerwcowe, słoneczne południe rozsypane po polu”.

Z listu do tłumacza: „Dzisiaj umarł Żeromski, cios to dla mnie okrutny z wielu powodów. Umarł na serce. Był o parę lat starszy ode mnie, ale miał szaloną wolę życia i energię. Strata ta polskiej literatury niezastąpiona. Uwielbiałem Go jako genialnego pisarza. Naturalnie, ta nagła śmierć źle podziałała i na mój stan zdrowia. Teraz bowiem na mnie przychodzi kolej umierania. — Nie będę się rozpisywał”.

Spełniło się dwa tygodnie później.

STANISŁAW MIJAS

Leśna odyseja Michała Basy

Andrzej Wierzbowski



Za romańskim kościołem, za górą i za rzeką, wzdłuż wyniosłego zbocza, nad którym we mgle ciemnieje grzbiet Łysogór i bliższy wieża przekaźnika TV na Świętym Krzyżu, ciągnie się Tarczek — wieś turoniem, herodami i w ogóle świętokrzyskim folklorem sławna i pamiętna legenda o partyzantach świętokrzyskich. Idąc ścieżką od kładki, obok krzyża w miejscu, gdzie zginął „Pestka”, dochodzimy do domu Basów. Stary to dom. Przyszedł w nim na świat Michał Basa i jego dziewięcioro rodzeństwa, odbywały się w nim przed wojną zebrania koła „Wici” i próby zespołu scenicznego, a w latach okupacji tajne narady organizatorów chłopskiego wojska. To w izbie tego domu przypalali żandarmi paznokcie „Pestce” zanim im plunął w gębę i skoczył w pole, by paść od kuli w walce, to stąd zabrali Niemcy braci Basów i tu Michał powrócił z leśnych szlaków „Mściciela”, żeby wychować sześciu własnych dzieci i gospodarzyć na ojcowiznie.

W domu Michała Basy każdy kąt i sprzęt każdy przypomina lata wojennej grozy i chwały. Prawda o tamtych latach żyje w pamięci mieszkańców tego domu, a najwierniej przetrwała

w wierszach Michała Basy. Jest tych wierszy leśnych, maczkiem pisanych, pełny żołnierski chlebak. Zagłębiamy się w przeszłość. Konfident Witek wskazuje Niemcom dowódcę grupy BCh, Stanisława Basę — „Małuję” i żandarmi ze Świętej Katarzyny biorą z domu obu braci „Małui”. Skatowanego Jana ciągną na łańcuchu za szyję, by go zabić koło kapliczki św. Franciszka. Jest to czerwiec czterdziestego trzeciego roku. Z rąk plutonu kata Schustera w Bodzentynie ginie sześćdziesiąt osób, w Kraju nie trzydzieści, giną ludzie w Psarach, Szafrankach, Podlesiu, Kakoninie, Jezioru, Dębnie, Klonowie, Woli Szczygiewkowej... Trudno ściśle określić liczbę ofiar, ale dochodzi ona czterystu osób. Michała jakoś oprawcy wypuścili, aby poszukał brata „Małui”. Odtąd chłopak przystał do grupy leśnej przysięgając oprawcom zemstę i przyjmując pseudonim „Mściciel”. A że bechowski oddział „Ośki” kwaterował wtedy nad Wisłą, poszedł Michał do „Ponurego”, do plutonu ochrony radiostacji, z którym żył się na zle i dobre, przebił się z pierścienia na Wykusie, był odznaczony krzyżem Virtuti Militari za akcję pod Masłowem...

Wiersze Michała Basy powstawały w toku walki i w chwilach odpoczynku na żołnierskim biwaku. Drukowany w antologii Szczawieja „Taniec Jędrka” powstał na przykład w Szewcach pod Oblęgorkiem, kiedy latem w czterdziestym czwartym z „Ponurem” szli na odsiecz Warszawie. Michał śpiący w stodole zbudził się nagle, gdy szczer buszujący wśród snopków z piśkiem spadł mu na piersi. Wybity ze snu, poruszony począł myśleć o śmierci i o kolegach, którzy przez śmierć już przeszli. Szczególnie lubił dwu Andrzejów. Obaj młodzi, weseli, niewiarygodnie wprost odważni, nie raz w polu pohulali ze śmiercią, która długo była dla nich łaska-

wa, by ich wreszcie przytulił jak matula. Andrzej Pałysiewicz zginął w obławie na Wykusie w roku czterdziestym trzecim, a Andrzej Pasek rok później w starciu pod Suchedniowem. Rozmyślając do świtu, przy szczeliny w ścianie stodoły napisał Michał wiersz, który rano spodobał się w oddziale, a śpiewany na melodię beztroskiej polki łyżczakowskiej stał się wkrótce popularną piosenką partyzancką. Inny znany utwór — „Grób w puszczy” — był napisany po pogrzebie kpr. „Spłonki” poległego w lasach radkowskich. Seria kołed żołnierskich i wiersz „Partyzanka tęsknota” powstały na zimowej kwaterze na Szczytniaku, „Kulig” znowu powstał w Cisowie w styczniu w czterdziestym czwartym, podczas zimowej koncentracji w oddziale „Barabasa”...

W latach, gdy polska książka deptana była butem zbrodniczego najeźdźcy, gdy krwawił naród i zamarła oficjalna kultura polska, właśnie tacy ludzie jak Michał Basa podjęli trud tworzenia, obowiązek przemawiania do społeczeństwa, mobilizowania do walki z wrogiem, krzepienia serc cierpiących. Wiersze Michała Basy mają zaskakujące rodowody, są ambitnym dokumentem przeżyć i tęsknot partyzantów z Puszczy Jodłowej, w sumie ułożyć by się mogły w fascynującą kronikę zmagania mieszkańców Kielecczyny z hitlerowskim najeźdźcą. Sporo tych wierszy trwa w pamięci byłych żołnierzy „Ponurego” i „Barabasa”, kilka wy-

drukowano we wspomnianej „Antologii współczesnej poezji ludowej” opracowanej przez Szczawieja, kilka w tomikach „Wsi tworzącej”, kilkanaście znajdzie się w nowej, przygotowywanej przez „Przemiany” antologii ludowej poezji kieleckiej. Ale większość wojennych i powojennych wierszy Michała Basy, razem z pisaną prozą „Opowiadaniem partyzanta”, pozostanie wciąż w rękopisie. A przecież Basę stać na własny, indywidualny tom poetycki i twórczość Basy zasługuje na taką publikację. Wydanie drukiem dorobku Basy stać się powinno jednym z pierwszych przedsięwzięć wydawnictwa, jeżeli takie kiedyś wreszcie w Kielcach powstanie.

Póki co, trzeba pomyśleć o autorze. Sterany leśną odyseją i pobytem w kaźniach gestapo, zawsze ofiarny i aktywny społecznie, sam już dzisiaj nie bardzo może podolać wszystkim obowiązkom. W styczniu i w marcu leczył chore serce w szpitalu, gdzie mu lekarze wydali zaświadczenie o trwałej niezdolności do podejmowania pracy fizycznej. A tu gospodarstwu potrzeba męskiej ręki, stary dom wymaga remontu i dzieciaki jeszcze nie odchowane. Piękna, ale surowa i kamienista Ziemia Kielecka nigdy wprawdzie nie rozpieszczała swoich piewców, jednak w zwalczaniu złych tradycji także trzeba zrobić początek. Zwykła renta czy stypendium twórcze dla Basy nie jest chyba marzeniem nierealnym?

CYPRIAN CZERNIK

MYŚLI

DOSKONAŁOŚĆ odczłowiecza.
Człowiek jest tworem doskonałym.

BYŁ ambitny. Nawet przed najbliższymi ukrywał swoją nędzę moralną.

ZERO załamuje się owalnie.

SWÓJ sztandar niósł wysoko. Żeby nikt nie mógł zobaczyć jego koloru.

NAJLEPIEJ iść na kompromis do brzo uzbrojonym.

MARZENIE lunatyków: znaleźć się na dachu świata.

PONIEKTÓRY stwór chce być uważany za stwórcę.

WYKIEROWALI mnie na ludzi — mruknęło działo.



fol. J. Zelazowski

miasteczko, którego nie ma

Jeden dzień z naczelnikiem

Bogdan Pasternak

Dawniej miasteczko liczyło około cztery tysiące ludzi, teraz nie może pomieścić półtora. Nie wiemy, jak wyglądało w XVII wieku, nie znaleziono do tej pory żadnych opisów, planów, obrazów czy sztychów. Domy legitymują się stałością z wyglądu. Są dwa kościoły i nie ma już dawnego rynku. Na tym sprzed lat rosną drzewa. W jego środkowej części stoi mały pomnik z orłem, dawniej zamiast orła było popiersie historycznej postaci, ale jego też nie ma. W bocznej zaś części umieszczono na betonowym postumencie duży kamień z napisem upamiętniającym świetną przeszłość miasteczka. Przecież Raków był stolicą polskich arian.

Historia mówi: przy zbiegu dwóch rzek — Czarnej i Lagowicy — w pobliskim sąsiedztwie Gór Świętokrzyskich, Jan Siemiński w 1569 roku zakłada miasto. Kasztelan żarnowski był kalwinem, ale jego żona, Jadwiga Gnoińska herbu „Rak”, wyznawała arianizm. To na jej prośbę tolerancyjny mąż zakupił w tych stronach nieu-

żytki i lasy, aby braciom polskim dać szansę do działań oświatowych, gospodarczych i do krzewienia swojej wiary.

Kiedy na ubogich ziemiach tworzoną gminną wspólnotę arian, kontrreformacja w Polsce przystąpiła do gwałtownego natarcia. Nawet wyznawcy kalwinizmu i luteranizmu z obawy o własną wiarę nie chcieli dalej

tolerować zbyt postępowych poglądów braci polskich. Tym bardziej, że wspólnota komunistyczna arian wykazywała w Rakowie nieprzeciętną siłę ekonomiczną. W mieście rozwijało się rzemiosło, powstały fabryka sukna, papiernia oraz słynna drukarnia. Syn Jana Siemińskiego, Jakub, poszedł śladami matki i przyjął arianizm, najbardziej demokratyczną religię ówczesnego świata. Założył szkołę, która swoim poziomem zdobyła sobie uznanie nie tylko u arian, ale i u katolików. Przybywała tu młodzież z Węgier, Holandii i wysp angielskich. Rakowscy arianie stali się pionierami postępu, nosicielami najśmielszych idei.

Dopiero pod naciskiem duchowieństwa i szlachty w 1638 roku Władysław IV wydał dekret, na mocy którego zamknięto arianom szkołę i drukarnię. Ostatni cios zadała im ustawa sejmowa z 1658 roku. Czas tolerancji, który zdobywał Polskę sympatią całej postępowej Europy, dobiegł końca. Arian wypędzono poza granice kraju. Posłużono się sprytnym argumentem — brakiem patriotyzmu w czasie wojen ze Szwedami. Wiadomo powszechnie, że arianie byli zwolennikami pokoju, a symbolem tego były drewniane miecze przypasane do boku, nie uznawali walki i rozlewu krwi. Miasto pozbawiono serca i mózgu. Powoli lecz systematycznie chyliło się ku upadkowi. Dawniej — jak mówi Tadeusz Bernat, historyk i miłośnik miasteczka — równało się z Sandomierzem i Radomiem. Teraz z nikiem się nie równa.

Przez ostatnie lata wisiał Raków na rubieżach powiatu opatowskiego. W czasie ostatniej reorganizacji i korygowania granic przydzielono go do powiatu staszowskiego. Stał się siedzibą nowej gminy i znów obudziły się nadzieje. Uchwała Prezydium WRN numer 35/369/70 z 3 lipca 1970 roku obiecywała aktywizację małych miasteczek. Niestety, dla Rakowa nie przyniosła ona żadnych zmian (za wyjątkiem przebudowy rynku na skwerek). Pisał już o tym w „Słowie Ludu” Mirosław Kowalik, dostrzegła temat telewizja, ale poszczerbione koło nie chce się toczyć.

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach odpowiadając telewizji na jej zaczepny reportaż pisze 9 listopada 1971 roku, „że w miejsce likwidowanego tartaku (miał być zlikwidowany), będącego jedynym uspołecznionym zakładem przemysłowym na terenie osady, oraz w celu dobrej aktywizacji Rakowa i okolicy, Prezydium WRN przeznaczyło 12 milionów złotych na budowę w latach 1974—1975 zakładu przemysłu terenowego branży metalowej o zatrudnieniu 140 osób”.

Czas jeszcze nie minął, więc nie można krakać, choć rok 1974 za pasem. Do tej pory w miasteczku panuje absolutna cisza. Nawet naczelnik gminy nie słyssał o koncepcjach budowy takiego zakładu.

Przeczytajmy jeszcze kawałek tamtego pisma. „Biorąc pod uwagę występujące w rejonie Rakowa złoża piasków i wapieni

Prezydium WRN wystąpiło do Ministerstwa Budownictwa i PMB z wnioskiem o lokalizację na tym terenie zakładu produkującego cegłę sylikatową. Sprawa jest w trakcie załatwiania i po zbadaniu złóż zostanie podjęta ostateczna decyzja.

Jedziemy do tartaku. Wczoraj była tu Komisja Sejmowa. Od 1958 roku mówi się o budowie nowego zakładu. Sporządzono dokumentację, kupiono teren i zmieniono decyzję. Przez następnych kilka lat przygotowywano likwidację tartaku ze względu na deficyt. Pismo wojewódzkiej rady, które już cytowaliśmy, wspomina o tych kłopotach. Obecnie przewiduje się modernizację za łączną kwotę czterech milionów złotych. Jeżeli unowocześnienie a nie budowa, to w tym samym miejscu, gdzie od dawna stoi zakład. Rozbudowa wymaga zakupu nowych terenów, aktualnie dzierzawionych od rolników. Modernizacja jednak nikomu nie trafia do przekonania. Komisja Sejmowa wysłuchała różnych opinii. Teraz w Rakowie czekają na rozsądne decyzje.

Wracamy do gminy. W uliczkach obok kościoła stoją furmanki. Czas wielkich targów minął bezpowrotnie. Chłopi z okolicznych wsi sprzedają owoce. Właściciele wapieniaków układają na wagach białe bryły spod Łagowa. Przy drodze z Kielc do Staszowa, na szerokich chodnikach, kobiety sprzedają słoninę i mięso. Wiatr unosi tumany pyłu, kręci diabelskie młynce i ucieka wąskimi uliczkami w pola.

Przed gabinetem naczelnika siedzi kilku interesantów. Stanisław Czechowski przyszedł w sprawie oddzielenia gruntów ornych od lasu. Prelegenci na zebraniach agitowali, aby na kiepskich polach sadzić las, więc on sadził, inni też. Mają teraz po dwa, trzy hektary lasu, ale podatki płacą po dawnemu, od gruntu ornego. Przydział nawozów mineralnych przypada im według starego rozdzielnika na

cały obszar i muszą kupować, tylko wysiewać nie ma gdzie. Naczelnik wezwał kierownika wydziału rolnego i ten potwierdził fakty, ale nie zna winnego. Leśniczy zrobił pomiary i nie wiadomo czy wysłał do powiatu. Jeżeli nawet wysłał, to i tak szuflady w powiatowych biurkach są głębokie. Naczelnik sprawę wpisuje do kajetu. Kierownikowi poleca, aby sołtysi spisali wszystkich rolników, którzy na polach posadzili las, bo zagadnienie wymaga generalnego rozwiązania.

Do pokoju wszedł dyrektor szkoły z Rembowa. Ma kłopot — powiedział do naczelnika. Dwie nauczycielki, które dojeżdżają z Łagowa, złożyły podania o przydział mieszkań. Dyrektor uważa, że im nie zależy na mieszkaniach, ale chcą otrzymać ekwiwalent pieniężny. — W starym budynku szkoły — powiada — można wygospodarować kilka mieszkań. Potrzeba tylko dwadzieścia tysięcy na drobny remont. Naczelnik prosi sekretarza. Zaglądają do budżetu. Niestety, na remonty nie ma ani grosza. Trzy tysiące na czynsze mieszkaniowe dla nauczycieli, to też za mało. Sekretarz proponuje, aby zapłacić ekwiwalent i sprawa z głowy. Dyrektor protestuje, bo uważa, że jest to polityka krótkowzroczna. Zaspokoił żądania nauczycieli, ale szkoła dalej nie będzie miała mieszkań. Sekretarz zgadza się z takim rozumowaniem i przyrzeka „politykę dalekowzroczną” od przyszłego roku. Teraz remont jest niemożliwy. Chyba że pieniądze weźmie się z funduszu budowy dróg. — Nie — zaprotestował energicznie naczelnik. — Z dróg nie wolno ruszać, i tak jest za mało, będziemy musieli nadganiać czynami. W tym dniu problem nie został rozwiązany. Może zdarzy się okazja, która ułatwi rozwiązanie tego dylematu?

Oj, te małe miasteczka. Znowu spotykam się z drobnym handlem. Czy jest to wynikiem kłopotów z

zatrudnieniem, czy dawnych przyzwyczaję? — Jestem rakowianką — mówi kobieta — hoduję nasioną i przyszedł po zezwolenie na sprzedaż. Dawniej dostawałam — dodaje szybko dla wywarcia wrażenia. — Nie mogę — odpowiada naczelnik. — Wydamy tylko zaświadczenie stwierdzające własność uprawianej ziemi. Zezwolenia na handel wydaje powiat. Dobre i to, kobieta myślała, że będzie gorzej. Wszyscy wiedzą, że na rakowskiej ziemi źle rosną kwiaty. Ziemia IV i V klasy. Z Rakowa jeżdżą pod Warszawę i kupują co trzeba. Nawet gorsza klasa nasion nie zaszkodzi. W Szczecińskim i Koszalińskim chętnie kupują. Pewnie, że czasem goni milicja i nieraz trzeba płacić, więc koncesja jest dla nich bardzo ważną sprawą.

W Rakowie obowiązuje swoista specjalizacja. Jedni sprzedają nasioną cebuli albo mieczyków, inni szlachtują świnki. Są nawet amatorzy handlu samogonem. Zdarza się, że ktoś podpadnie, nieostrożnemu podwinie się noga, ale tak w ogóle dobrze znają chody, potrafią omijać zasadzki i pułapki.

Teraz wszedł Miller, ma 83 lata i pięciohektarowe gospodarstwo. Stodoła zginęła od wiatru i starości. W obórce krowa przez dach ogłada gwiazdy. Syn umysłowo chory, stale pod pieczęcią. Zona mocno schyłowa ku ziemi. Mieszkają w jednym pokoiku, w którym stoją dwa łóżka, leży węgiel i drzewo, worki ze zbożem i ziemniakami, nawet kurki kręcą się koło komina. Kupił trochę cegły, desek i chce się budować. Ludzie mu tłumaczą, że to nie ma sensu, ale on się uparł. Ziemi państwu nie odda, bo jakże! Kto we wsi oddał ziemię? Nie ma jeszcze takiego zwyczaju. I ludzie umierają w okropnych warunkach.

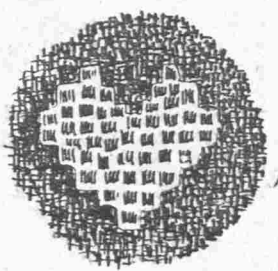
Miller już nie jest w stanie prowadzić gospodarki. Starość odebrała mu siły. Oglądamy jego biedę, namawiamy, aby oddał to, czego właściwie nie ma,

i poszedł do domu opieki. A słabi z nas agitatorzy. Miller nie chce słuchać, klóci się z sąsiadami, oskarża ich o kradzieże, walczy sam z sobą. Może jest w tym jakaś wina sąsiadów, że nie potrafili zrozumieć starego człowieka, puścić obok uszu jego urojenia, udzielić sąsiedzkiej pomocy, porady, spróbować przyjacielskiej perswazji. Wiesz to jest wieść. Niby wiele się zmienia, ale nawet mila naprzód w rozwoju gospodarczym nie zawsze jest półkrokiem w zmianie psychiki. Tych prawideł rozwoju nie nauczyliśmy się jeszcze doceniać. Zbyt często wydaje się nam, że wystarczy dać chleb, a wszystko inne jakoś się ułoży. Niestety, nie chce się układać.

Zaglądam do autobiograficznej powieści Stanisława Czernika „Dom pod wiatrami”: „W tej nędznej miejscowości nic nie zostało — ani jednej isierki w popiele po płomieniu, który trawił tu serca i umysły ludzkie. Wszystko zżarł Gryzka mien. Nic nie zostało. Ani jednego spadkobiercy, dziedzica ideałów, wśród tysięcy Polaków i tysięcy Żydów, stanowiących zaludnienie miasteczka. Nie tylko zanikła idea, ale także niczego nie ma z tradycji, wiedzy dziedzicznej, choćby takiej jak gadanie gminna, przekazywana z pokolenia w pokolenie”.

Wracam do domu. Furmanki już odjechały z miasteczka. Wiatro tylko tańczy po asfaltowych uliczkach. Klóć się w myślach z Czernikiem. On przed wojną chodził po miasteczku i rozmawiał z ludźmi. Ja zostałem niewiele zaskoczony bogactwem zbiorów Tadeusza Bernata. Własne pomieszczenie mieszkalne przeznaczył na prywatne muzeum. Świadczy ono o umiłowaniu rodzinnego miasteczka. Szkoda, że tych miłośników można polubić na palcach jednej ręki. O Rakowie pisano — małe „polskie Ateny”. Kto o tym pamięta na co dzień?

BOGDAN PASTERNAK



W czwartej pod oknem

„Sala klasy wstępnej mieściła się na dole gmachu gimnazjalnego. Prowadziły do niej drzwi z korytarza... Na korytarzu siedział stary pedel pan Pazur i wprawna ręką targał dzwonek, którego przenikliwy dźwięk oznajmiał koniec wielkiej przemiany, przed każdą klasą czatowała ukryta za framugą postać baczna na obrót drzwi kancelarii, na korytarzu odsiadywało się popołudniową

kozę. Po latach mozołu gimnazjalista przechodził na piętro do tzw. cukierni, aż do matury, kto ją tam otrzymał czy nie...

Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego, tak jak jest doskonale, jeszcze nie spełnia koncepcji od lat zamierzonej w swym pełnym tytule. Nie jest szkołą, w której pisarz pobierał nauki. To marzenie związane z odzyskiwaniem historycznego me-

trażu absorbuje pracowników muzeum, którzy podejmują kwerendę w oparciu o „Syzyfowe prace”, „Dzienniki”, dokumenty, żeby odtworzyć możliwie wiernie jedną klasę w szkole Żeromskiego. Pulpit, katedra, ośmioosobowe ławy, mapy na ścianach, globus, portret cara, kajety może z „urokami” z tamtych lat, jakiś kalamarz, judasz w drzwiach, ten dzwonek starego pedla, zegar, który odmierzał godziny, odtworzył się albo odnajdzie w Kielcach czy gdzie indziej. Widzieliśmy niedawno, gdy tropami „Dzienników” chodziła po Kielcach Barbara Wachowicz, „panneau” szkolne i grupe kolegów Żeromskiego na dobrze zachowanych zdjęciach. Może uda się, jak tyle razy, zainteresować naszych czytelników, wciągnąć do tych poszukiwań, zachęcić do przejrzenia sepetów, albumów, bibliotek i rodzinnych pamiątek.

Po co ta klasa z carem na ścianie, w której Marcin Borowicz siedział w czwartej

ławie pod oknem? Pani Kazimiera Zapala mówi: Muzeum nasze odwiedza przeważnie młodzież, gdy ze spisu lektur zalicza „Syzyfowe prace”, młodzież z całej Polski ściągająca tu w porze kwitnienia kasztanów na placu obok szkoły. Ogląda tornister, etażerkę z książkami, świadectwo i czapkę z palmami, ale w tych murach nie czuje tamtej szkoły, słowo nie odda atmosfery, nie pokaże w jakiej uczelni, jak walczyć dojrzewał do polskości Marcin Borowicz z podkieleckich Gawronek. W takich ławach, przy globusie i mapie bez jednego polskiego słowa w legendzie, powinien zabrzmieć „Maraton” Ujejskiego...

To rola nowoczesnego muzeum — komponować ekspozycje dla intelektualnych i emocjonalnych przeżyć. Pomóżmy, kielczanie, przypomnieć klasę w carskiej szkole w gubernialnym mieście Kielce. To historia polskiej nauki.

I. J.

Przewodnik po literackich szlakach Kielecczyny

Stanisław Nyczaj

Książka Stanisława Mijasa „Świętokrzyskie szlaki literackie” jest odpowiedzią literaturoznawcy na zamówienie społeczne objawiające się w ostatnich latach coraz żywszym zainteresowaniem publiczności czytelniczej szczegółami powiastań biografii twórców oraz faktów rzeczywistości przedstawionej w utworach z historią i życiem autentycznym, sprawdzalnym w konkretnych wymiarach przestrzeni i czasu. Potwierdzeniem tego zainteresowania jest niesłabnący popyt na rodzime i tłumaczone dzienniki, pamiętniki, wspomnienia pisarzy oraz biografie czy opracowania wybitnie popularnonaukowe. Zainteresowanie to wreszcie – ujmując rzecz w pionie – stało się zjawiskiem ogólnopokoleniowym, właściwym zarówno młodzieży, jak też średniej i starszej generacji czytelników. Ow naturalny trend podchwyciły szybko wszystkie publikatory, nasilając go i – niestety – wymonewrowując zreczenie w kierunku już dostrzegalnych skutków, wobec których trudno nie żywić obaw. Swego rodzaju egzaminami ze znajomości drobiazgów, ciekawostek i anegdot z życia pisarzy czy bohaterów książek stały się przeróżne quizy, zgaduj-zgadule, teleturnieje, zaprawiające zawołanych rycearzy ducha do istic ekwilibrystycznych ćwiczeń pamięciowych. Jeszcze trochę, a jak schodzony but utrże się mniemanie, że wystarczy nazbierać powieściowych realiów, nazwisk, dat, aby zasłużyć na miano inteligenta legitymującego się wyrobioną kulturą literacką. Oto skutki: dyskutanci na spotkaniach autorskich po prezentacji utworów pytają, jak to się stało, że pisarz zaczął tworzyć, skąd czerpie pomysły, o jakiej porze dnia, w jakich warunkach mu się najlepiej pisać, czy podróżował, a jeśli tak, to jakie wyniósł wspomnienia itp. Bezkrytyczny, bibulorny stosunek do tego, co składa się ledwie na fabułę literatury powoduje w konsekwencji uślenie wrażliwości estetycznej na to, co w literaturze najtrudniejsze, ale i najpiękniejsze, co wynika z istoty jej językowego

tworzywa, a dopiero za jego pośrednictwem kształci – inaczej niż teatr czy film, głębiej – wyobraźnię i etyczno-humanistyczną wiedzę o człowieku.

Autor „Świętokrzyskich szlaków literackich” uniknął szczególnie zwodniczo ponętnych, a – jak się rzekło – najbardziej niebezpiecznych zasadzek biografistyki. Ukazał zwięzły pisarzy z Kielecczyny, wkomponowując faktografię w starannie dobrane tło słowa artystycznego przydającego tejże faktografii sens, uzasadnienie obecności. Mijasowi idzie o to, aby

symbolika miejsc upamiętnionych bytnością pisarzy wyrażała coś więcej, niż tylko tę świadomość, że był lub przejeżdżał tamtędy znany pisarz. Dlatego tak często urozmaica informacyjny komentarz cytatami, słuszenie ufając w pożądaną skuteczność każdej dawki. Dzięki temu nazwy miejscowości, jak Nagłowice, Czarnolas, Olszówka, Sandomierz, Gaj, Obłęgorek, Chęciny, Ciekoty, Kurozwęki, a wreszcie całych mikroregionów (Gór Świętokrzyskich, Ponidzia) zyskują walor znaków wywoławczych literackich mitów. Nie są one li tylko upersonifikowane, lecz nadto – ukoronowane aktem twórczego słowa. Miejsca te niejako ukształtowały topografię wewnętrzną Reja, Kochanowskiego, Paska, Kochowskiego, Sienkiewicza, Dygasińskiego, Żeromskiego. W kontekście aluzji historycznej mogą funkcjonować w świadomości czytelników jako nazwy-klucze do poznania pewnych tajemnic twórczości.

Topografia wewnętrzna? Trzeba być jednak ostrożnym. W szkicu wstępnym „Region literacki” Mijas wyraźnie zastrzega: „W omawianych w niniejszej książce sylwetkach twórców oraz ich dziełach nie można właściwie wyodrębnić regionalizmu jako orientacji ideowej, a więc konkretnych hasel, postulatów czy programu. Takie pojmowanie idei regionalistycznej nie znajduje też potwierdzenia w świadomym i celowym wyborze określonej formy czy też gatunku literackiego właściwego

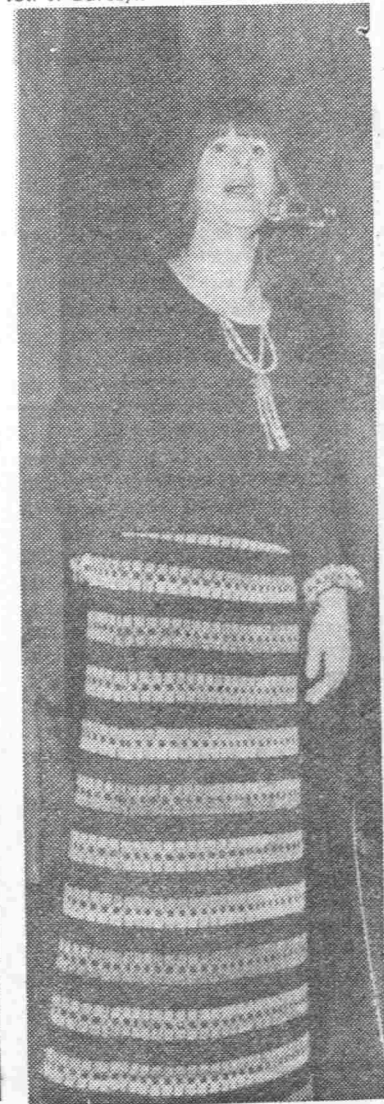
literaturze ludowej regionu. Jedynie Dygasiński posłużył się formą ludowej gawędy (...). W twórczości pozostałych pisarzy można jedynie wyodrębnić motywy krajobrazowe, historyczne lub obyczajowe. Najpełniejszym życiem pulsuje w tych utworach przyroda widziana bezpośrednio, na przykład u Kochowskiego, bądź też «oczyma wyobraźni», jak to ma miejsce w twórczości Żeromskiego. Na przykładzie tego twórcy można też śledzić wpływ przyrody na kształtowanie jego osobowości.”

Oprócz wspomnianych nazwisk (z dopiskiem Ściegiennego i Prusa), na kartach książki goszczą też nazwiska szerszemu ogółowi mniej znane: Walerego Przyborowskiego, Kazimierza Łaskowskiego, Wacława Karczowskiego – pisarzy surowo ocenionych przez historię literatury, z uwagi jednak na wartości pojedynczych utworów godnych przypomnienia; niekompletny byłby bez nich poczet pieców regionu.

Poszczególne sylwetki pisarzy nakreślił Mijas wyraziście. Przez chronologiczny układ zagadnień nadał książce właściwy, przejrzysty kształt kompozycyjny. Całość uzupełniają przypisy, indeksy nazwisk, miejscowości i nazw geograficznych oraz mapki i ilustracje. Czytelnik otrzymuje zatem do ręki rzetelnie opracowany przewodnik po literackich szlakach Kielecczyny.

Stanisław Mijas: Świętokrzyskie szlaki literackie. Wyd. Łódzkie 1973, s. 276 + mapki i ilustracje.

fol. J. Burczyn



nasze rozmowy

Jak po wielkim praniu

Kariera tej aktorki zaczęła się nie tak dawno. Nie pamiętam nawet dokładnie kiedy, ale dziś na widok – daleko przecież odbiegającej od stereotypowego wyglądu kabaretowej diwy – postaci Janiny Jaroszyńskiej poprawiamy się wygodnie w fotelu oczekując na kolejną porcję ciętych, doskonale podpatrzonych i zestawionych ze sobą obserwacji naszego życia. Bowiernie pani Janina mówi z estrady o tym wszystkim, co nas obchodzi, o czym i my mówimy przy okazji różnych narad, zebrań lub w domu w gronie najbliższych. Zaczynała w teatrze, by wreszcie odnaleźć własną drogę do widowni poprzez estradę. W życiu prywatnym skromna,

uimująco miła i bezpośrednia. Przecież ma już, jak to się mówi, nazwisko.

— Pozyskanie zaufania widza nie jest taką łatwą sprawą — mówi pani Jaroszyńska — zwłaszcza na estradzie, gdzie mam bardzo mało czasu dla siebie. Ale zaczniemy od początku. Aktor oddając się estradzie musi wiedzieć, co chce powiedzieć widzowi, i musi mieć coś do powiedzenia, to znaczy dysponować dobrym tekstem. W moim przypadku dobrym tekstem jest ten, który dotrze do wszystkich widzów, zainteresuje ich, rozbawi, odpręży. Takie teksty piszą dla mnie znakomici satyrycy, m.in. Stanisław Tym, Jan Pietrzak, Jerzy Baranowski, Mariusz Kwiatkowski. Pi-

szą, jak to się mówi, podle mnie. Zdołałam, jak sądzę, stworzyć postać przeciętnej żony, urzędniczki — jednym słowem kobiety-Polki żyjącej w latach siedemdziesiątych.

— Zgodą, ale jeszcze zostaje sposób, jakim pani podaje te teksty. Jest pani inna niż Hanka Bielicka czy Irena Kiwiakowska. Stworzyła pani odrębną postać, „proszę koleżenstwa”.

— Kosztowało mnie to sporo wysiłku, zresztą, do dziś kosztuje. Jak już wspomniałam, zaczynałam w teatrze od „Balladyny”. To nie było tak trudne. Teatr daje aktorowi o wiele więcej szans niż estrada. W teatrze aktorowi pomagają koledzy, reżyser, scenograf, autor. Jeżeli się nie powiedzie w pierwszym akcie można rzecz naprawić w drugim i trzecim. Estrada jest dla aktora bezlitosna, nie daje okazji do poprawienia się, do korekty. Na estradzie jestem sama wobec tysięcy widzów i mam bardzo mało czasu: jakieś 5—7 minut. W tej sytuacji muszę być stale skoncentrowana: liczy się każda sekunda, każde słowo, muszę pozyskać widownię w ciągu kilkunastu sekund. Jeżeli się nie uda, wszystko zostanie zmarnowane. Nie zdążę...

— Myślę, że ta koncentracja udaje się pani znakomicie. Po zapowiedzi pani występu na estradzie dostaje pani brawa odrobinę cieplejsze od tych grzecznościowych, ale w trakcie monologu oklaski stają się gorętsze, coraz bardziej spontaniczne, by wreszcie — po zakończeniu pani wystąpienia — przemienić się w tzw. burzę braw. Publiczność wcale nie chce się z panią rozstawać. Jest to prawidłowa reakcja, gorzej jest bowiem wtedy, gdy po zapowiedzi wstępnej następuje gorący aplauz, który po każdym kolejnym „numerze” maleje...

— Bardzo, ale to naprawdę bardzo nie chciałabym przeżyć takiej chwili. Niekiedy publiczność jest wspaniała, tak znakomicie reaguje na to, co mówię, że doprawdy, na bis chciałoby się powiedzieć jeszcze jakiś monolog. Ale wtedy przychodzi refleksja — może będzie to gorszy tekst? Może go nie powiem tak dobrze? Kiedy schodzę z estrady, czuję się tak, jak się może czuć kobieta po wielkim praniu...

Jakie ma pani plany na przyszłość?

— Może się pan zdziwi, ale chciałabym z mężem osiąść gdzieś na stałe. Najchętniej zresztą w Kielcach. Chciałabym stworzyć własny kabaret, zaprosić tu kolegów — aktorów z Warszawy, sądzę, że zgodziliby się zagrać ze mną. Ze stolicy do Kielc nie jest znów tak daleko, trochę ponad dwie godziny jazdy ekspresem.

— Bardzo byśmy się cieszyli, miasto potrzebuje czegoś takiego.

Rozmawiał B. W. RAŃSKI



ot. E. Zagdański

inaczej

O potrzebie grafomanii

Błażej Jackowski

Najobficiej zapelniają się teczki w redakcjach wierszami, najgrubsza z nich nosi zwykle napis „pegaz bez skrzydeł” lub „nie nadaje się do wykorzystania”.

Czym jest poezja, tego nie potrafią dokładnie określić teoretycy ani najlepsi znawcy, każda definicja będzie tworem kalekim, poezja jest jednocześnie potrzebą i wzruszeniem; pokrywając fałszem i złudzeniem wszystko, co istnieje wokół nas, potrafi jednocześnie ukazać prawdę o świecie.

Każdy z nas staje się coraz bardziej anonimową częścią unoszoną w strumieniach ulicznego ruchu — obojętnie skąd czy dokąd idziemy, do pracy, z kiną, na spotkanie, spacer czy zakupy. Życie staje się życiem bez ciągłości, regulowane przez godziny pracy i światła na skrzyżowaniach ulic.

Współczesna socjologia w opisie społecznych zawiłań często sięga po pomoc metafory, wykresy i wyliczenia statystyczne są tu bowiem bezużytecznym i pustym fantomem. Niewzruszone dotąd

zasady ulegają coraz większym pęknięciom, a w czasie obecnym, jak pisze Van den Haag, „żaden człowiek nie jest samotną wyspą — każdego jednak otacza morze, a za sprawą elektrycznych wzmacniaczy dzwon bije każdemu tak ogłuszająco, że wszelka rozmowa ogranicza się do pokrzykiwań”.

Ci, którzy piszą ukradkiem wiersze na kartkach wyrwanych z notesu, w szkolnych zeszytach, przełamują niekiedy wewnętrzne opory, pokazują je komuś, posyłają do redakcji, oczekują z niepokojem na list, z wypiekami twarzy na ocenę, z ukrywaniem na dnie duszy nadzieją, że może wiersz zostanie wydrukowany, wyrzucając jego twórcę z szarej, anonimowej ludzkiej masy.

Jedną z cech życia i tworzonej przez ludzi kultury jest przemijanie, świadomość przemijania zmusza do refleksji, a niemożność zatrzymania chwili zachęca wielu do najbardziej intymnej, osobistej czynności, jaką jest pisanie wierszy na własny, prywatny użytek. Umiejętność

refleksji pomaga nieraz w zrozumieniu i pogodzeniu się ze światem. Dlatego pisanie miernych, nie nadających się do druku wierszy jest rzeczą potrzebną, umiejętność refleksji nie jest bowiem równoznaczna z umiejętnością pisania dobrych wierszy.

Zastanawiałem się nieraz, dlaczego nadsyłane do redakcji płody pióra czy długopisu są często tak koszmarnie i kulaawe. W szkołach uczy się rysunków, śpiewu i gry na instrumentach, nie uczy się natomiast podstaw pisania przeciętnych, tworzonych na własny użytek, nawet — jak to niektórzy złośliwie określają — grafomańskich wierszy.

Nowoczesna produkcja musi odbywać się w warunkach pozbawiających indywidualności. Nowoczesna konsumpcja polega na kupowaniu standardowych rzeczy i przedmiotów, uczestnictwie w odbiorze masowej rozrywki i kultury, gdzie coraz mniej jest miejsca na indywidualne upodobania i gusty. Najłatwiejszą dla wielu ludzi próbą przełamania własnej anonimowości, próbą odnalezienia się w świecie, jest kartka papieru i pióro czy długopis, jest tworzenie wiersza.

Istnieją wyznawcy poglądu, że w poezji osiągnięto już wszystko i na tym łądzie nie uda się już odkryć nic nowego. Gdy mnie ktoś pytał ostatnio, czy poezja będzie do czegośkolwiek potrzebna kosmonautom — odpowiedziałem, że nie wiem, bo nie wiem również, czy była potrzebna Kolumbowi, ale wiersze można i trzeba pisać nie tylko po to, żeby zobaczyć je w druku.

Trzeci raz

Mieczysław Kaleta

7 maja 1948 roku. Wiosna była wtedy jakaś spóźniona, więc i ów dzień dżdżysty i zbyt zimny. Kielczanie tłumnie podążali na stadion za Wojewódzkim Domem Kultury, choć to przecież nie była niedziela i nie mieli grać tak jeszcze nie czas popularni futboliści Tęczy.

A jednak trybuny stadionu zapelniały się coraz bardziej. Ludzie oczekiwali na wydarzenie sportowe, jakiego tu jeszcze nie oglądano. Co starsi kieleccy miłośnicy sportu pamiętali jeszcze, jak kilkanaście lat wcześniej do Kielc przybyli tak popularni wówczas cykliści na metę etapu wyścigu dookoła Polski. Teraz też przybędą kolarze. Ale jakiej imprezy! Międzynarodowej, poświęconej utrwalaniu przyjaźni między narodami, której przecież byliśmy wtedy tak spragnieni mając żywo w pamięci mroczne lata wojny.

Wielka impreza dla wielkiej idei. I emocje wielkie. Bo nasi jadą dobrze. Ten sam Kapiak, który już przed kilkunastu laty zapisał się w pamięci kieleckich kibiców jako młodzieniec uzdolniony do rowerowych wyścigów, teraz jedzie znakomicie, choć wojna zabrała mu najlepsze lata. Jest w czołówce. Może jeszcze wygra...

Jechali kolarze z Pragi do Warszawy. Równocześnie z Warszawy do Pragi podążały inne ekipy tej samej imprezy. Interesowaliśmy się bardziej tą, która przybywała do Kielecczyny. Polacy prowadzą. Czy utrzymają tę przewagę?

Stadion już pełny, wielu kibiców na trasie. Głównie przyjeżdżają do miasta, gdzie trzeba jechać pod górę. Z Krakowa do Kielc nie jest znów tak daleko, ale pogoda psuła się z każdą chwilą, nadszły ciężkie i ciemne chmury.

Wreszcie przyjechał pilot, a za nim dwaj kolarze. Jugosłowianie. Samotnie wjechali na bieżnię. Tu wzięli się za ramiona i wspólnie przejechali linię mety. Jadący w klasyfikacji indywidualnej Poredski i Zoric, który miał szansę na włożenie koszulki lidera, potrzebowali 3 godzin, 54 minut i 30 sekund na przebycie trasy tego etapu. Zimno, przeciwny wiatr i kilkakrotny deszcz nie pozwalały na rozwinięcie szybszego tempa.

Stadion godnie przyjął gości, ale z niecierpliwością oczekiwał biało-czerwonych. I wtedy nade-

szła wieść, że następne grupy kolarzy wpadły w burzę. Musiały znacznie zwolnić. Ulewa przysła i nad stadion. Kiedy znów się przejaśniło, ukazała się sylwetka kolarza. Zabłocony strój, ale szybko poznano, że to Polak. Kapiak właśnie! Zmęczony do granic wytrzymałości już nie finiszował, lecz wolno zdążył do mety. 5 minut i 2 sekundy po zwycięstwach etapu. Potem znów długo trzeba było czekać. Po dalszych 7 minutach jako szósty na mecie zameldował się Wrzesiński. Później następni — Nowoczek, Wyglenda, Sałga, Wandor i Łazarczyk.

Polska wygrała ten etap. Powiększyła swoją przewagę o dalsze 7 minut! A Zoric włożył żółtą koszulkę i następnego dnia na etapie z Kielc do Warszawy już jej nie oddał. Nasza drużyna też nie pozwoliła sobie odebrać pierwszeństwa.

Trudny to był wyścig. Ukończyło go tylko 6 zespołów i zaledwie 39 zawodników. Najlepszy z naszych, Kapiak, zajął doskonałe trzecie miejsce, a ostatni Polak — Łazarczyk — był na 39 pozycji mając ponad cztery... godziny straty do lidera...

To był pierwszy „nasz” Wyścig Pokoju.

24 maja 1968 roku. Na stadionie Radomiaka w Radomiu tłumy ludzi. Kilkanaście tysięcy widzów przybyłych tu nawet z wielu odległych miast województwa w pełnym napięciu oczekuje kolarzy. Piękna pogoda, wspaniała atmosfera wielkiej imprezy międzynarodowej. Wyścig Pokoju jest już przecież największą w świecie imprezą kolarstwa amatorskiego.

Jazda indywidualna na czas z Puław do Radomia. Nie ma emocji wspólnego finiszu, ale są inne. Mamy przecież zaledwie minutę straty do zespołu NRD. Ostatnia szansa, bo z Radomia tylko jeden etap do Warszawy. Tu więc się wszystko zadecyduje. A jeszcze do tego jedzie w drużynie radomianin, Kazimierz Jasiński. I jak dobrze jedzie! Powinien się poprawić...

Serdeczne brawa dla pierwszych zawodników. Ale to ci słabsi. Najlepsi startują pod koniec, przyjeżdżają więc później. Jest najlepszy kolarz zespołu naszych rywali — Peschel z NRD. Świetny czas wysuwa go na pierwsze miejsce. Przyjeżdżają następni. Jasińskiemu nie powiodło się. Miał zyskać, stracił. Inni nasi reprezentanci również. Czyżby więc przyszło się nam pożegnać z myślą o zwycięstwie? Jeszcze nie ma na mecie najlepszego polskiego specjalisty w jeździe na czas — Jana Magiera. W nim cała nadzieja. Kiedy więc pojawia się na stadionie, trybuny sprawiają mu wielką owację. I było za co. Magiera spisał się znakomicie. Wygrał etap z przewagą przeszło dwóch minut nad Peschelem. Odrobiliśmy straty do NRD! A potem utrzymaliśmy przodownictwo aż do mety w Warszawie.

To był drugi „nasz” Wyścig Pokoju, na który czekaliśmy cierpliwie... dwadzieścia lat!

18 maja 1973 roku. Po pięciu latach po raz trzeci powitamy kolarzy Wyścigu Pokoju. Jak przed dwudziestu pięciu laty tłumy kielczan podążają na ten sam stadion, by emocjonować się finiszem kolarzy jadących do nas z Krakowa. Będziemy mogli porównać czasy zwycięzców i przekonać się, jaki to postęp uczyniło kolarstwo w ciągu ćwierćwiecza.

Potem ten tradycyjny, zawsze jednak wzruszający moment. Podium, laurowy wieniec, runda honorowa. Może z Polakiem? Nazajutrz starachowiczanie i radomianie będą mieli również okazję i zaszczyt pełnienia roli gospodarza tej wielkiej imprezy.

Dziś to już prawdziwy gigant. Ponad 100 zawodników, 20 sędziów, 50 masażystów i mechaników, 80 dziennikarzy, lekarze, obsługa techniczna, bagażowi, i wielu innych ludzi, bez których sprawne funkcjonowanie tej maszyny nie byłoby możliwe. W sumie, blisko 500 ludzi. Czterech musi pracować nad tym, by jeden zawodnik był zdrowy, wypoczęty, dobrze odżywiony, miał dobry sprzęt, wygodne kwatery, właściwie ocenione miejsce, przyniesiony do hotelu bagaż, a później stąd zabran; by możliwe najciekawsze wieści o tej pięknej imprezie poszły jak najszybciej w świat.

Jesteśmy już całkowicie przygotowani na przyjęcie kolarzy. Wszyscy ludzie zajmujący się tymi przygotowaniami czynili to z wielkim entuzjazmem i poświęceniem. Kielecczyna powinna się więc dobrze zapisać w pamięci uczestników XXVI Wyścigu Pokoju. Olbrzymie zainteresowanie jego przebiegiem przez województwo widać na każdym niemal kroku. I to pozwala mieć nadzieję, że uda się nam sprostać trudnym przecież wymaganiom organizacyjnym.



fol. A. Pęczalski

noty, fakty ciekawostki rozrywka

NA OKŁADCE:

Zdjęcie na str. 1 — CAF, na stronach 16-17 — T. Pohl. Tytuły przyozdobiliśmy motywami serca (wszak to maj) w twórczości ludowej.

W jednym zdaniu

❖ 10 kwietnia I sekretarz KC PZPR — Edward Gierek i prezes Rady Ministrów — Piotr Jaroszewicz spotkali się z budowniczymi Elektrowni „Kozienice” oraz zwiedzili rejon rozpoczynającej się budowy elektrowni w Palańcu.

❖ Pięć miliardów złotych osiągnęły w marcu wkłady oszczędnościowe mieszkańców Kielecczyny.

❖ W związku z powołaniem przewodniczącego WRZZ, Witolda Kozłowa, na stanowisko kierownika Wydz. Org. CRZZ, nowym przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych został Henryk Sobon, dotychczasowy sekretarz KW PZPR.

❖ Delegację Komitetu Okręgowego FDJ z Magdeburga gościł Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Socjalistycznej w Kielcach.

❖ Blisko sto tysięcy uczniów szkół średnich i zasadniczych zawodowych uczestniczyło w woj. kieleckim w XIV Olimpiadzie Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym.

❖ W Kielcach odbyła się uroczysta akademii poświęcona 30 rocznicy powstania Związku Walki Młodych.

❖ Tytuły najgospodarniejszych wsi Kielecczyny w 1972 roku — w zorganizowanym przez WK FJN i Prez. WRN już po raz trzeci konkursie — przyznano Włostowicom w pow. kazimierzowskim i Skarżysku Kościelnemu w pow. ilżeckim.

❖ Prezydium ZW ZMS w Kielcach wystosowało apel do członków kół ZMS o kontynuowanie akcji pn. „Obywatelska rzecz”, której celem jest wykrywanie rezerw i racjonalne gospodarowanie surowcami i narzędziami (w r. ub. efekty tej akcji obliczono na 10 mln zł).

❖ Z przedstawicielami władz województwa kieleckiego spotkał się minister przemysłu chemicznego — J. Olszowski.

❖ 4 miliony sztuk narbytu karpia przybyło stowom państwowych gospodarstw rybactkich, które zaplanowały dostarczenie w br. na rynek o 150 ton karpia więcej niż w ub. r.

❖ Pięciu przewodników pełnić będzie stale dyżury w tegorocznym sezonie

turystycznym w podchętynieckiej jaskini „Raj”.

❖ Z komunikatu Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego: zadania planowe I kwartału w zakresie sprzedaży wyrobów własnej produkcji i usług uspołeczniony przemysł Kielecczyny wykonał w 104 proc.

❖ Jako pierwsza w kraju, 8 kwietnia powołana została w Kielcach Rada Wojewódzka Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej (na przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Rady wybrano Antoniego Barylej).

❖ 6122 egzemplarze gazet i czasopism w języku rosyjskim przenieśli mieszkańcy Starchowic i powiatu ilżeckiego.

Wiosna w galeriach

Na bieżący sezon wystawowy kieleckie BWA przygotowało ciekawy i urozmaicony program. 15 marca w radomskim „Empiku” otwarto ekspozycję rysunków Ewy Semil. 40 wystawionych prac to jednocześnie 40 migawek z podróży do Anglii, jaką artystka odbyła w roku ubiegłym. Główny temat wystawy stanowił Londyn ze specyfiką swojej ulicy, niezwykłością scenek rodzajowych; wielkość rysunków zdradza zaciekawienie autorki charakterystyczną architekturą znad Tamizy.

W przygotowaniu są dalsze ekspozycje. Kierownik Biura Wystaw Artystycznych w Kielcach, Bruno Kulczycki, poinformował nas o planach biura na najbliższą przyszłość, z czego wynika, że niebawem udostępniona zostanie publiczności ogólna

nowopolska wystawa rzeźby ceramicznej (hotel „Lysogóry” w Chęcinach), prócz tego przewiduje się wystawienie malarstwa i scenografii Heleny Naksianowicz (Muzeum Świętokrzyskie) oraz rysunku satyrycznego Zbigniewa Jujki.

Wystawa fotograficzna w WDK zgromadzi prace na temat „Ziemia Kopernika”, w br., podobnie jak w latach poprzednich, kontynuowany będzie cykl „Kieleckich plenerów”.

Skąd my to znamy?

W roku 1925 wydano w Lublinie „Słownik wyrazów obcych niezbędny w urzędowaniu i życiu publicznym”. Za podstawę wyboru słów najniezbędniejszych w urzędzie przyjęto „Słownik wyrazów obcych”, M. Arcta, Warszawa 1921. Pominęto obce ale całkowicie przyswojone wyrazy, jak np. automobil, depesza itp., pominęto również te znaczenia, które nie mają cech powszechnego użycia w obiegu urzędowym i publicznym (np. przy określeniu wyrazu dyscyplina nie podano za Arctem znaczenia: krótki bat o kilku rzemykach lub sznurkach).

Przyjrzyjmy się tym archaizmom i neologizmom. Dekretacja — wyjaśniono urzędnikowi — to notatka zwierzchnika na korespondencji wskazująca sposób załatwienia sprawy. Djetariusz, djurnalista — pracownik biurowy dziennie płatny. Garaż — magazyn; warsztaty samochodowe. Konceptowy papier (!) — papier zwykły kancelaryjny. Makulatura to papier zdrukowany lub zapisany, przeznaczony do opakowania. Manualista — pisarz biurowy, kancelista. Omnibus — powóz publiczny dla większej ilości osób (w większych miastach). Papierokracja — biurokracja. Publicysta — literat piszący w sprawie współczesności. Biurokracja, bo i to tam mamy, to nadmierny udział sfery urzędniczej w rządzie, bezduszna formalistyka biurowa.

Ten podręczny słownik coś znaczy razem z innym materiałem pomocniczym pt. „Informator urzędnika”, wydany w Lublinie w tymże 1925 r., w którym art. 90 Tytułu trzeciego „O państwowych funkcjonariuszach niższych” — mówi: „Każdy ubiegający się o posadę funkcjonariusza niższego powinien umieć czytać i pisać po polsku”.

„Świętoszek” u Żeromskiego

Na scenę Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach weszła w kwietniu premiera „Świętoszka” Moliera. Reżyser przedstawienia, Tadeusz Pliszkiiewicz, odstąpił i od utrwalonego teatralną tradycją przekładu Boya, i od konwencjonalnej interpretacji dzieła klasyka francuskiego dramatu. Wobec obserwatorów rodem z historycznej rzeczywistości, Ludwika XIV i kardynała Maz-

zariniego, aktorzy grają — w wolnym przekładzie Jerzego Adamskiego — rzecz o fałszywych ideach, o moralnych postawach, sposobie bycia. Ten „Świętoszek” uwspółcześniony nie będzie w historii kieleckiego teatru odrobieniem szkolnej lektury; przedstawienie w zamyśle tak niekonwencjonalne budzi żywą dyskusję, zarówno wśród wykonawców, jak widzów.

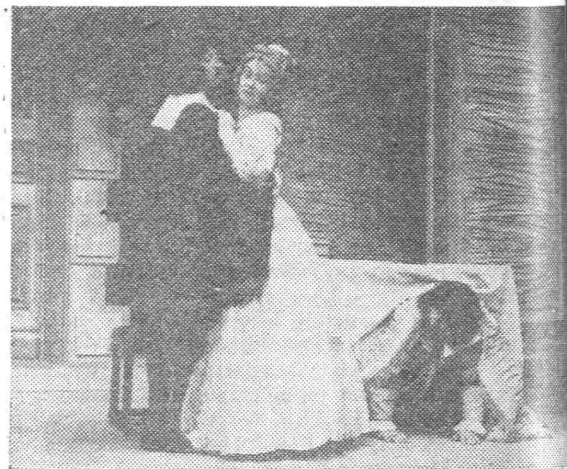


foto. Z. Jonko

RYKOSZETY

ZAGADKOWY HOHLIK.

W rubryce „Przepraszamy, remanent” („Słowo Ludu”, 31.III.1973 r.) znaleźliśmy przykłady oryginalnej ortografii: „Nie reagowali na to sądząc, że są to tylko gadki-szmałki. Zagatkową kradzież rozszyfrowała szybko milicja. Pozostała kwota przechuchała w skarżyskich knajpach”.

Nieźle — jak na jedną rubryczkę — pochował sobie i posfawolił prasowy (bo niby dlaczego zawsze drukarski) hohlik...

EINSTEINOWSKA
WZGLĘDNOŚĆ?

I jeszcze jeden remanent, tym razem zapewne poprimaaprilisowy. Na pierwszej stronie „Słowa Ludu” anonuje konkurs Korespondencyjnego Liceum Ogólnokształcącego na temat „Rozwój oświaty w mojej miejscowości” (z pierwszą nagrodą, nie bagatelą, 10 tys. złotych) i dodaje, że „prace należy nadsyłać

pod adresem szkoły (Radom, Rynek 11) do dnia 31 marca”.

Gazeta ukazała się 2 kwietnia.

KTÓRY ZDOBI,
KTÓRY SZPECI...

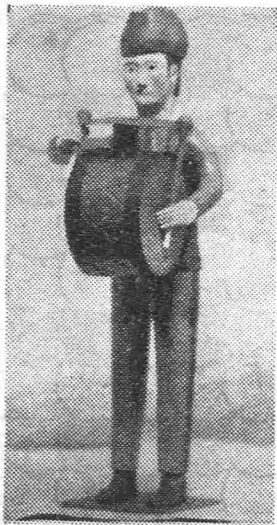
Autor (JaS) notatki w „Echu Dnia” wymienia najstarsze w zbiorach Przypkowskich zegary i pisze: „... oraz zegar słoneczny z 1637 roku wygrawerowany na płycie ołowianej według rysunku Sebastiana Münstera, który jest najbardziej okazałym zegarem...”, a także: „Wszelkich tych skarbów strzeże sam imię Twardowski siedząc na księżycu (z kogutem), który jako znak domowy rodziny Przypkowskich zaprojektowany został przez Stefana Mroźewskiego od lat zdołał podworsze muzeum”. Czego nie można powiedzieć o poczynym w polskiej pisowni zaimku „który”, który ułokowany w niewłaściwym miejscu wręcz szpeci i pisownię i przysparza nieporozumień.

Poezji dzień siódmy

Konkurs recytatorski jest niespożyta impreza w resorcie kultury, i tej konsekwentnej — już 19-letniej tradycji — z podziwem wypada przyklasnąć. Łatwiej o pochwały i aprobatę, gdy regulamin, forma konkursu ulegają postulowanym i przez nas ewolucjom, co znakomicie służy uczestnikom, widmom oraz godnej popularyzacji literaturze.

Za nami przegląd wojewódzki. 56 recytatorów wystąpiło w pięciu tematycznych koncertach, wzbogaconych „Słowem o Jakubie Szeli” B. Jasińskiego w wykonaniu aktorów tarnowskiego teatru i kameralną muzyką instrumentalistów naszej filharmonii. Jury przewodniczył Lech Śliwnik. Ocena była pozytywna.

Wesele tegoż Szeli reżyserował przed laty na eliminacjach centralnych nasz faworyt, Jan Młodawski z Końskich, Marek Bargielowski z Radomia mówił Baczyńskiego we wrocławskiej Hali Ludowej, przed Julianem Przybosiem i Wiesławą Szymborską. Dziś to już — z ówczesnych amatorów — nazwiska aktorów — Bracia Kozubowie, Szostak, Bugajski. Szczęsny, wiele zdolnych uczennic przewodziło centralną tremę i w auli Leopoldinum i w Wrocławiu, w sali szczyńskiego Zamku, w Płocku, a do dziś cokolwiek robią, w Fabryce Obuwia w Skarżysku,



Przed maturą

Coraz wyraźniej wykształca się profil „Informacji Kulturalnej”, małego wydawnictwa WDK w Kielcach. W numerze z marca br. odnotowaliśmy kilka pozycji służących celom, dla jakich zezwala się, do użytku służbowego, opracowywać 50 stron w bardzo skomplikowanym procesie technologicznym, a pieczętowanie, jak w dobrej oficynie, do ostatniej kropki spisu treści. Dział Informacji i Wydawnictw zna się na tej robocie. Podobał nam się (tych 300 egzemplarzy idzie do placówek poza metropolię) podany terenowi terminarz i repertuar naszego teatru i filharmonii. Dobrym pomysłem jest informacja o nowościach płytoteiki muzycznej; nie Sipińska i Polomski, te pozycje młodzież wyłowi na słuch w każdej księgarni. Informator podaje m.in. nagrania współczesnej poezji polskiej: Wiesława Szymborska — NO 355, Stanisław Grochowiak — NO 270, podobnie numerowany Tadeusz Różewicz, Julian Przyboś i inni. Wybrane utwory interpretowane przez autorów to dobra droga do odczucia piękna i zrozumienia procesu twórczego, to ponadto produkt pierwszej jakości zamiast amatorskich atrap na różne klubowe imprezy.

Pomysłem znakomitym i na czasie jest rozdział o państwowych szkołach artystycznych, studiach kulturalno-oświatowych i bibliotekarskich oraz wyższych szkołach artystycznych podległych MKiS. Tak potrzebna w placówkach kadra fachowców ma przed maturą adresy, specjalizację w każdej dziedzinie, ilość miejsc w pełnym zestawie: od komunikacji wizualnej, do grafiki propagandowej, wychowania muzycznego, ubioru, operatorstwa i realizacji telewizyjnej. Tylko wybierac.

Atrakcje na Kadzielni

Po długich dyskusjach i wielu koncepcjach wykorzystania największego i najatrakcyjniejszego obiektu kulturalnego w Kielcach — amfiteatru na Kadzielni, rok bieżący zapowiada generalne zmiany. Powołano przy WDK specjalną komórkę, której zadaniem będzie nie tylko opieka administracyjno-techniczna nad amfiteatrem, ale głównie wykorzystanie obiektu, zapewnienie takiego programu imprez kulturalno-rozrywkowych, który gwarantowałby miastu i turystom godziwą rozrywkę.

Zespół ten, koordynując poczynania i plany różnych instytucji kulturalnych, przygotował bogaty program imprez na cały sezon letni. Rozpoczną się one już w maju wielkim koncertem zespołów artystycznych z okazji Święta Pracy. Także w maju w amfiteatrze na Kadzielni przewidziano inauguracyjną Kielecką Lata Kulturalnego, w ramach którego odbędzie się około 30 różnego rodzaju imprez artystycznych, a m.in. Seminarium Folklorystyczne z udziałem regionalnych zespołów z Kieleccyzny i województw sąsiednich. W przygotowaniu jest wielkie widowisko reprezentujące folklor Ziemi Kieleckiej pn. „Świętokrzyski pasiaki”, podporządkowane programowo i artystycznie właśnie tematyce seminarium.

Z bogatego programu artystycznego opracowanego z myślą o amfi-

teatrze należy także wymienić: koncert zespołu Armii Radzieckiej, ogólnopolski przegląd dorobku artystycznego Związku Zawodowego Transportowców i Drogowców, występy uczestników Festiwalu Piosenki Radzieckiej z Zielonej Góry, przegląd zespołów cygańskich, siedmiu zespołów wojskowych, uczestniczących w festiwalu w Połczynie-Zdroju, no i wreszcie główne imprezy dorocznego Święta Pracy, organizowanego przez kieleckie pisma „Słowo Ludu”, „Echo Dnia” i „Przemiany”.

Warto także odnotować, że w każdą niedzielę na deskach sceny w amfiteatrze organizowane będą przez ZMS, WOSTiW i Wydział Kultury Prez. MRN w Kielcach „młodzieżowe spotkania taneczne”, zaś w czasie wakacji obiekt na Kadzielni zostanie udostępniony młodzieży przebywającej w województwie na koloniach i obozach letnich.

Rzecz jasna, że ten ramowy program będzie systematycznie uzupełniany nowymi imprezami kulturalnymi i rozrywkowymi, co przyczyni się z jednej strony do wykorzystania tak

pięknego obiektu, z drugiej zaś, co najważniejsze, do ożywienia życia kulturalnego Kielca i regionu.

Rzeźby na kieleckich placach

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Kielcach zorganizowało dla artystów rzeźbiarzy naszego miasta plener artystyczny w Orońsku. Nowością przedsięwzięcia jest to, że rzeźbiarze poza pomocą materialną, zapewnieniem tworzywa, mają gwarancję zakupu rzeźb przez władze miejskie Kielca. Rzeźby te ozdobią kieleckie place i skwery przyczyniając się do podniesienia estetyki miasta. Warto przypomnieć, że wcześniej z inicjatywą zakupu rzeźb z orońskich plenerów wystąpiła Kielecka Spółdzielnia Mieszkańców, która także chce je zaprezentować na spółdzielczych osiedlach.



fat. A. Pęczalski

Kalejdoskop zaproszeń

Szczupły zespół redakcyjny nie może być tam wszędzie, gdzie go serdecznie zapraszają. Niemniej serdecznie dziękujemy:

WDK w Kielcach za zaproszenie nas na Wojewódzki Przegląd Piosenki Żołnierskiej „Kolobrzeg 1973”.

Powiatowemu Komitetowi Organizacyjnemu XII Konkursu Piosenki Radzieckiej w Lipsku za zaproszenie na eliminacje powiatowe (finalistów oklaskowaliśmy w Kielcach).

Komendzie Wojewódzkiej MO za zaproszenie na naradę poświęconą podsumowaniu działalności społecznych inspektorów ORMO do spraw ruchu drogowego. Zwycięskim

społecznym inspektorom z pow. kieleckiego składamy serdeczne gratulacje.

Kieleckiej „Estradzie” — która prosiła dziennikarzy na konferencję prasową w związku z organizacją po raz pierwszy z takim rozmachem w Kielcach „Międzynarodową Wiosną Estradową”. Byliśmy na widowisku.

Naczelnej Organizacji Technicznej (Oddział w Kielcach) za zaproszenie na prelekcję mgr inż. Andrzeja Strzeleckiego pt. „Kielce za 10 lat”.

Wydziałowi Kultury Prez. MRN, Kieleckiemu Oddziałowi Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich oraz Dyrekcji Liceum Ekonomicznego w Kielcach za zaproszenie na sesję i wystawę pt. „Kieleckie tradycje kopernikańskie”, zorganizowane z okazji 500 rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika.

J. M. Rektorowi Wyższej Szkoły Nauczycielskiej w Kielcach, który zaprosił nas na wystawę „Mikołaj Kopernik

1473—1973”, przygotowaną przy współudziale Biblioteki Głównej UMCS w Lublinie.

Dyrekcji Klubu MPIK w Kielcach za zaproszenie na spotkanie z aktorem Teatru im. S. Żeromskiego, p. Aleksandrem Micholowskim i kierownikiem literackim teatru, mgr. Stanisławem Mijaszem.

Polskiemu Towarzystwu Lekarskiemu — Oddział Wojewódzki w Kielcach — za zaproszenie na sesję naukową z okazji Dnia Klinicznego na temat „Problemy zdrowia psychicznego młodzieży”.

Dyrekcjom muzeów: Narodowego w Krakowie i Świętokrzyskiego w Kielcach za zaproszenie na wystawę pt. „Mikołaj Kopernik i Jego myśli”, połączoną z pokazem filmów „Mikołaj Kopernik — kronika życia” i „Adresy Doktora Mikołaja”.

Dyrekcji oraz Radzie Zakładowej Szpitala Wojewódzkiego w Kielcach za zaproszenie na uroczystości Dnia Pracownika Służby Zdrowia.

Strzyżono - golono

W projektach naprawy szkolnego obyczaju nie ma spraw bardziej i mniej ważnych. Często „wranglery” i fryzury zjadają całą pedagogiczną energię wychowawców, a klęska czy wymuszony sukces są dowodem, że konflikt dopiero się zaczyna. Przykład — ot, po prostu drobnica. Z pewnej szkoły zawodowej, której uczniom — pracownikom kręcący lok raczej zaciemnić może pole widzenia, skierowano grube długowłose

lidarność młodych w bezczelności, klęska pedagoga i pracownika zobowiązanego do świadczenia usług. Nawet interweniować nie mogły odważne panie z salonu damskiego, bo młodzież zastrzegła sobie tajemność i intymność posiedzenia.

Do tej pory coś im tam już na tych głowach odrosło, ale rzecz przecież nie we włosach lecz w głowach. (i)

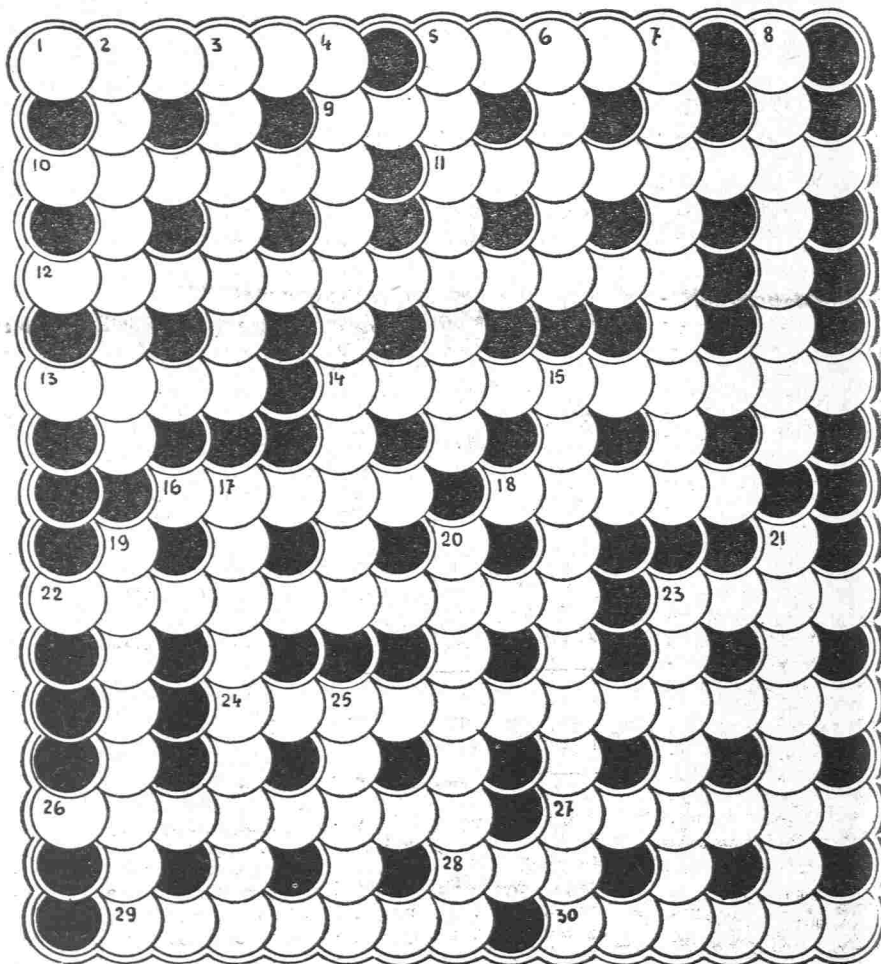
Chęciny znów w modzie

Od czasu pobytu w Chęcinach hetmana polnego, Jerzego Hoffmana (z ekipą, z ekipą — oczywiście) miasteczko to słodko drzemalo wolne od ciekawskich turystów. Drzemka ta jednak została przerwana: WOSTiW na raty dokonał otwarcia w pofranciszańskim klasztorze restauracji i hotelu. Obiekt budzi spore kontrowersje; wiele słów i określeń, jakie w myślach lub słowach formułują pod adresem restauracji dość liczni, jak na początek, klienci, stanowczo nie pasuje do tradycji tego obiektu. Restaurację, zresztą, po kilku dniach trzeba było zamknąć z powodu remontu.

Troską napawa także wewnętrzny wystój lokalu przypominający swą fakturą wcześniejsze przeznaczenie. Na coś się trzeba zdecydować: albo klasztor, albo restauracja z hotelem. Gościom przegrywa znakomita orkiestra Jerzego Mitera, który nosi się z zamiarem uprawiania muzyki typu „cygański romans”. Nie mogą nasycić ciała — sycimy dusze.

A swoją drogą zakonna reguła praktykowana z takim zapalem przez świecki WOSTiW ułatwi zachowanie linii i młodzieńczej sylwetki na długie lata. Tylko czemu to aż tyle kosztuje, bracie Januszu?

(w)



KRZYŻÓWKA 32

POZIOMO: 1) żywico-
wy roztwór z przymiotni-
kiem „kojący”, 5) wielko-
russi kupiec, 9) tytuł o-
bywatela ziemskiego w
Turcji, 10) sposób rozpo-
częcia partii szachowej,
11) południowo-europejska
bylina albo legendarna
żona rzymskiego patrycj-
usza, 12) obrzędowanie,
13) może być np. pole-
cony, 14) układ palcowa-
nia w grze na instrumen-
cie, 16) nuda, 18) ubocz-
ny produkt destylacji wę-
gla, 22) upomnienie, 23)
przewoźne dla Charona,
24) wysła i przyjmuje
depesze, 26) grzęzawis-
ko, 27) trąska, 28) ma-
lajskie drewno do budo-
wy statków, 29) nikczem-
nik, 30) współdziałający
zespół mechanizmów.

PIONOWO: 2) instytu-
cja skupiająca wybitnych
uczonych, 3) ekspedient,
4) kierunek filozoficzny
zakładający całkowitą po-
znawalność świata, 5)
fińska epopeja, 6) poly-
skująca blaska zdobio-
ca ubiór, 7) postument,
8) europejska nazwa kul-
towej tancerki hinduskiej,
15) współbojowniczką, 17)

człowiek surowych zasad
obyczajowych, 19) rzad-
ko stosowana ewolucja
narcyjska służąca do
zmiany kierunku lub za-
hamowania, 20) dykteryj-
ka, 21) sprawdzenie, 23)
dobudówka, 25) ciekłe
mydło stosowane przy od-
kazaniu narzędzi chirur-
gicznych.

Uwaga: 8 pion. — BA-
JADERA.

Wśród czytelników, któ-
rzy do 10 maja br. na-
deślą rozwiązanie, rozlo-
sujemy bon towarowy
wartości 500 zł. Pod ad-
resem („Przemiany”, 25-
367 Kielce, pl. Obrońców
Stalingradu 2) prosimy
dopisywać: „Krzyżówka
32”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 31

Poziomo: satrapa, Cas-
tro, Mickiewicz, czerep,
Saloniki, szacunek, skla-
dak, zjazd, Ufa, medal,
szantaż, palisada, igrasz-
ka, „Wesele”, kolowrotek,
aliant, Karaiby.

Pionowo: paszczką
starucha, kompania, A-
niela, rewanż, Paczków,
ścisk, czasza, salami, du-
dy, kula, mandolina, na-
groda, fasola, szkrab, pa-
sta, Lewkas, Saska.

**NAGRODĘ (500-złoto-
wy bon towarowy) wyo-
sowaliśmy dla Zdzisława
KRZESIA ze Staszowa, ul.
Wschodnia 8/29.**

Czeskie wojaże K. Anbilda

Dyrektor kieleckiej
Filharmonii im. Oskara
Kolberga w Kielcach,
Karol Anbild, odbył w
kwietniu artystyczne
tourné po Czechosłow-
acji, gdzie dyrygował
kilkoma koncertami, w
programach których do-
minowała muzyka pol-
ska. Prowadził on kon-
certy w Mostie, Teplic-
ach i Litomierzycach
z miejscowymi orkie-
strami symfonicznymi,
które wykonały min.
utwory Stanisława Mo-
nuszki, Mieczysława
Karłowicza i Witol-
da Lutosławskiego. Ja-
ko solistka wystąpiła w
tych koncertach także
znana skrzypaczka ja-
pońska, Shizuki Ischi-
kawa, zdobywczyni II
miejsza na Konkursie
Skrzypcowym im. H.
Wieniawskiego w roku
ubiegłym.

przemiany

Adres redakcji: Plac Obrońców Stalingradu 2, 25-367 Kielce, tel. 487-72.

Wydawca: Kieleckie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Kielce, pl. Obr. Stalingradu 2.
Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres zgłoszonej prenumeraty przez wszystkie urzędy pocztowe i placówki „Ruchu” w całym kraju. (Instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa—Książka—Ruch”). Urzędy pocztowe przyjmują prenumeratę w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW. Cena prenumeraty: kwartalna — zł 21, półroczna — zł 42, roczna — zł 84. Prenumeratę z wysyłką za granicę, w cenie o 40 proc. wyższej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO nr 1-6-100.024, telefon 20-46-88. Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w Dyrekcji Wojewódzkiej PUPiK „Ruch”, Kielce, ul. M. Buczka 11, tel. 430-64.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch” w Kielcach. Nakład 20.160.

P-5

65 lat na scenie



Najpopularniejszy kielecki aktor, Edmund Karasiński, obchodził niedawno niezwykły jubileusz — 65-lecie występów scenicznych.

Będzie mały

Jeżeli nowe samochody z wielkiej rodziny „fiat” będą tak szybko schodziły z taśmy produkcyjnej, jak szybko rodzą się dowcipy na ich temat — będziemy mogli mówić o sukcesie. Dowcipów jest dużo i wszystkie, o dziwo, dość dobroduszenie traktują małego „żuczka”, nie dostrzega się w nich tzw. siekiery.

Oto kilka przykładów. Kierowca dużej ciężarówki ze zdziwieniem spostrzega na wierzchołku drzewa „żuczka” z kierowcą w środku. — Co się stało? — woła. — Wie pan — odpowiada tamten z drzewa — nie wiedziałem, że one boją się psów...

Mówi się, że sprzedaliśmy na pniu 10 tys. „żuczków” do Związku Radzieckiego. Pójdą na breloczki kluczyków do „bielazów”. Nie jest źle z naszym „małym”, od kiedy zawarliśmy umowę kooperacyjną z „Mercedesem” — biorą od nas silniki, mają je montować do wycieraczek, itp., itp.

Lubimy się pośmiać i to z czegoś, co jest bliskie sercu. Ale niech tylko w gazecie pojawi się informacja o pokazie sprawności małego „fiata 126p” — tysiące ludzi leć odczuć to cud w akcji. Mały, bo mały, ale niechby już był...

(b)

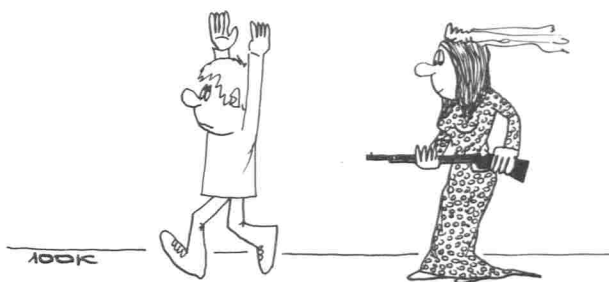
Związany od lat dwudziestu z Teatrem im. Stefana Żeromskiego Dostojny Jubilat zagrał na kieleckiej scenie ponad 50 ról. Karierę rozpoczynał jako śpiewak, marząc właśnie o sukcesach operowych. Występował nawet w wielu dużych rolach śpiewając m.in. Stolnika i Jontka w „Halce”. Wkrótce połączył występy operowe z rolami dramatycznymi i na skutek choroby gardła zmuszony był zrezygnować z kariery tenora — balsa, ale pozostał Melpomenie wierny po dziś dzień.

W ciągu 65 lat występów na scenie Edmund Karasiński grał w teatrach całego kraju od Lublina, przez Lwów, Kraków, Warszawę, Katowice i Olsztyn aż do Kielc, dokąd przybył w 1953 roku.

Dzień jubileuszu, związany z obchodami Międzynarodowego Dnia Teatru, spędził Dostojny Jubilat także na scenie grając rolę Pierzychina w sztuce „Mieszczanie” Gorkiego. W dniu tym na ręce artysty napłynęły dziesiątki telegramów od kolegów, znajomych i wielbicieli jego talentu, a także od władz. Pozdrowienia przysłał m.in. minister kultury — Stanisław Wroński, zaś życzenia i gratulacje bezpośrednio na ręce Edmunda Karasińskiego złożył w imieniu władz wojewódzkich I sekretarz KW PZPR — Aleksander Zarajczyk.

PROSIMY O BIS, MISTRZU EDMUNDZIE!

URZĄD STANU CYWILNEGO



Telewizja Kielce?

Chwilowo jeszcze nie! Trzeba to stwierdzić na wstępie, żeby nie było niedomówień. Niemniej jednak mamy własny Radiowo-Telewizyjny Ośrodek Nadawczy na Św. Krzyżu. Ostatnio, na skutek porozumienia z ZURT, ośrodek nadaje przed południem tzw. program przemysłowy (obraz testu kontrolnego i dźwięk z generatora). Otóż wydaje się, że program przemysłowy dałoby się odrobinę uatrakcyjnić, np. na kilka minut przed emisją programu TV można by pokazywać fotografie zabytków, ciekawych okolic regionu, gotowych obiektów kulturalnych, szlaków turystycznych, zajazdów itp. Jedno lub dwa słowa informacji dopisanej ładnym pismem i trochę dobrej muzyki z magnetofonu.

Oczywiście potrzebna jest do tego kamera telewizyjna, ciekawe fotogramy, magnetofon i — rzecz jasna — odrobinę dobrych chęci. Z tym, jak dotychczas, jest najgorzej: nasz ośrodek na-

dawczy nie ma do chwili obecnej nawet planszy wywoławczej z napisem „Telewizja Kielce”, co świadczy jak gdyby o zatraceniu przez nas poczucia patriotyzmu lokalnego (w Radomiu z całą pewnością tamtejsi plastycy wykonaliby planszę — niestety, chodzi o Kielce).

Wydział Kultury Prez. WRN zainteresuje się tym pomysłem. Ze swej strony obiecujemy, że najcięższy projekt planszy wywoławczej, oczywiście z napisem „Telewizja Kielce”, pięknie wydrukujemy na okładce naszego miesięcznika. Przewidziane honorarium w ustalonej wysokości. (b)

A może kolejka linowa

Sporo zamieszania w sferach urbanistyczno-komunikacyjnych wywo-

łał żart red. Wiacka zamieszczony w „Magazynie” „Słowa Ludu” dotyczący projektu zbudowania nad Silnicą (wiadukt) fragmentu trasy E-7. Czytelników — branzystów zmylił zapewne tenor artykułu, którego autorzy nie tylko wyliczyli zalety spektakularne swojego projektu, lecz także korzyści ekonomiczne i zdrowotne.

Idąc w sukurs pomysłodawcom służymy następną wersją rozwiązania trudnego problemu przepuszczenia samochodowego ruchu tranzytowego przez Kielce, nieznacznie podrażającego kosztą w stosunku do ceny wiaduktu, i proponujemy kolejkę linową funkcjonującą na zasadzie promu między Szydłowem a Telegrafem.

Transport pojazdów wraz z pasażerami mógłby się odbywać w przeszklonych pojemnikach KKL (Kielecka Kolej Linowa). Kierowcy podczas podróży KKL powinni gasić silniki swych pojazdów. W przypadku niezastosowania się do powyższego nakazu patrol MO, wyposażone w helikoptery, będą pobierały mandaty już w trakcie podróży KKL (chodzi o to, by nie opóźniać średniej szybkości podróży uzyskiwanej coraz rzadziej na E-7). Dla wygody właścicieli „fiatów 126” będzie można zainstalować specjalne haczyki (między wagonikami) dające się łatwo zapinać i odpinać.

Nowych pomysłów dotyczących rozwiązania tranzytu przez środek Kielc nie będziemy już drukować. Ręce opadają...

(JW)



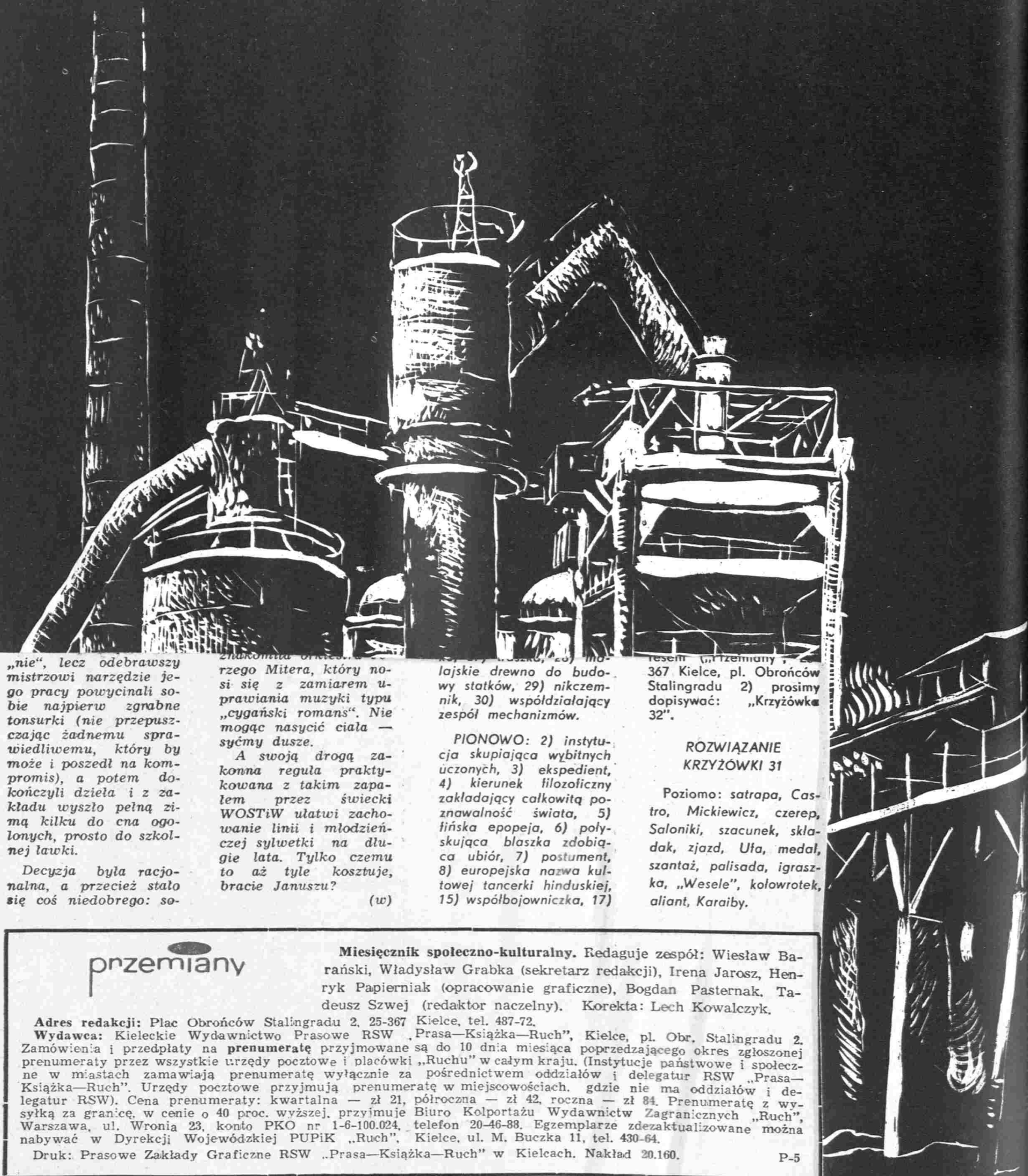
Wielki piec

Starachowicki wielki piec, przypominający dziś hutnicze tradycje miasta, nie daje surówki już od ośmiu lat. Jego sylwetka wrosła jednak na stałe w krajobraz miasta nad Kamienną. Wybudowany w roku 1898 służył głównie Zakładowi Stara-

chowickim dostarczając także surowca do produkcji fabrykom metalowym dawnego Staropolskiego Zagłębia Przemysłowego. Wiele razy nad obiektem zawisła groźba likwidacji (przestarzałe urządzenia, brak surowców na miejscu, nie najlepsza jakość produkcji). Nie było czasu na sentymenty, nie było pieniędzy. W roku 1965 zapadła decyzja ostatecznej likwidacji obiektu. Koszt renowacji był bowiem zbyt wysoki w stosunku do ewentualnych korzyści dalszej eksploatacji. Po 67 latach służby staruszek miał być rozmontowany, skierowany na przetop w czeluściach swych młodszych braci. Na szczęście, znaleźli się ludzie, którzy podjęli obronę zabytku. Argumenty dość jasne. Kieleccyzna – największe skupisko zabytków starej techniki od „dymarek” przez Sielpie,

Samsonów, Bobrze, Nietulisko, Chlewiska, Maleniec, Białogon – mogła zyskać ostatnie ogniwo w łańcuchu zabytków techniki, ogniwo łączące prehistorię z czasami najnowszyimi. Dzięki staraniom miłośników Starachowic, przy poparciu Muzeum Techniki i naukowców z krakowskiej AGH, decyzję o rozbiórce cofnięto. Wielki piec w Starachowicach uznano za obiekt muzealny, przystąpiono – aczkolwiek powoli – do opracowania dokumentacji, do urządzenia muzeum z prawdziwego zdarzenia. Prace przy zagospodarowaniu obiektu trwają. Z największą pomocą przychodzi starachowicka FSC, która przeznacza na ten cel spore fundusze. Już niedługo Kieleccyzna wzbogaci się o jeden z najatrakcyjniejszych obiektów muzealnych w kraju.

rys. H. PAPIERNIAK



„nie”, lecz odebrawszy mistrzowi narzędzie jego pracy powycinali sobie najpierw zgrabne tonsurki (nie przepuszczając żadnemu sprawnemu, który by może i poszedł na kompromis), a potem dokonali dzieła i z zakładu wyszło pełną zimną kilku do cna ogolonych, prosto do szkolnej ławki.

Decyzja była racjonalna, a przecież stało się coś niedobrego: so-

znakomita orkiestra z Mitera, który nosisi się z zamiarem uprawiania muzyki typu „cygański romanś”. Nie mogąc nasycić ciała – syćmy dusze.

A swoją drogą zakonna reguła praktykowana z takim zapalem przez świeckiego WOSTiW ułatwi zachowanie linii i młodzieńczej sylwetki na długie lata. Tylko czemu to aż tyle kosztuje, bracie Januszu?

(w)

lajskie drewno do budowy statków, 29) nikczemnik, 30) współdziałający zespół mechanizmów.

PIONOWO: 2) instytucja skupiająca wybitnych uczonych, 3) ekspedient, 4) kierunek filozoficzny zakładający całkowitą poznawalność świata, 5) fińska epopeja, 6) polska blaska zdobica ubiór, 7) postument, 8) europejska nazwa kultowej tancerki hinduskiej, 15) współbojownicza, 17)

367 Kielce, pl. Obrońców Stalingradu 2) prosimy dopisywać: „Krzyżówka 32”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 31

Poziomo: satrapa, Castro, Mickiewicz, czerep, Saloniki, szacunek, składowa, zjazd, Ufa, medal, szantaż, palisada, igraszka, „Wesele”, kolowrotek, alian, Karaiby.

przemiany

Miesięcznik społeczno-kulturalny. Redaguje zespół: Wiesław Barański, Władysław Grabka (sekretarz redakcji), Irena Jarosz, Henryk Papierniak (opracowanie graficzne), Bogdan Pasternak, Tadeusz Szwej (redaktor naczelny). Korekta: Lech Kowalczyk.

Adres redakcji: Plac Obrońców Stalingradu 2, 25-367 Kielce, tel. 487-72.

Wydawca: Kieleckie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Kielce, pl. Obr. Stalingradu 2. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres zgłoszonej prenumeraty przez wszystkie urzędy pocztowe i placówki „Ruchu” w całym kraju. (Instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch”). Urzędy pocztowe przyjmują prenumeratę w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW). Cena prenumeraty: kwartalna – zł 21, półroczna – zł 42, roczna – zł 84. Prenumeratę z wysyłką za granicę, w cenie o 40 proc. wyższej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO nr 1-6-100.024, telefon 20-46-88. Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w Dyrekcji Wojewódzkiej PUPiK „Ruch”, Kielce, ul. M. Buczka 11, tel. 430-64.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Kielcach. Nakład 20.160.

P-5